

KAZIMIERZ BRAUN

POMNIK

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

POMNIK

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 451

ISSN 0406-0393

ISBN 2-7168-0119-3

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

KAZIMIERZ BRAUN

POMNIK

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1989

1.

Na jesieni 1989 roku Zenon poczuł się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Był zarazem bardziej zgorzkniały niż kiedykolwiek dotąd w swoim życiu.

Podjął pracę jako profesor scenografii na dużym stanowym uniwersytecie w Teksasie. Była to istotnie posada „profesorska”. Praktycznie jednak, konkretnie i formalnie Zenon został asystentem (*assistant professor*), a do jego obowiązków należało wykonywanie, zwłaszcza zaś malowanie dekoracji teatralnych, oraz uczenie tegoż studentów.

Poczuł się szczęśliwy, bowiem po raz pierwszy od dziewięciu lat zyskał pracę stałą, z kontraktem całorocznym, awansował na „profesora”, z malarza pokojowego, budowlanego i nawet drogowego, chwytającego się wszelkich dorywczych prac, wycierającego się po poczekalniach różnych przedsiębiorców budowlanych, bossów, managerów i kierowników, wyjeżdżającego bladym świtem do malowania ścian, reklam i jezdni w ekipie złożonej z paru Murzynów, paru notorycznych bezrobotnych, którzy musieli się wykazać co jakiś czas krótkim okresem pracy, aby utrzymać zasiłek, jakiegoś Wietnamczyka, Węgra czy Irlandczyka poszukującego lepszej roboty, a tymczasowo imającego się gorszej, jakiegoś wygłodniałego *crack*'u narkomana, któremu akurat nie udało się ostatnio nic ukraść i spieniężyć, oraz jednego białego specjalisty — majstra. Zenon przestał parzyć się asfaltem w upale, ciągnąć białą albo żółtą farbą długie linie na szosach, marznąć na wietrze, malując reklamy przy autostradach, łykać farbę z rozpylacza przy malowaniu wielkich powierzchni ścian. Dostał pracę w przestronnych, czystych, dobrze ogrzewanych w zimie i dobrze oziębianych w lecie pracowniach. Teraz on objaśniał, wydawał polecenia, pokazywał jak się co robi.

Był zgorzkniały, upokorzony i sfrustrowany, bo awansując na uniwersytet, tym wyraźniej zobaczył stopień swojego upadku i degradacji. Nie wobec swej wczorajszej sytuacji w Ameryce, ale wobec swojej niegdysiejszej pozycji w Polsce.

On, kiedyś w peerelu prominent, fisza, panisko, szef — był teraz wyrobnikiem, pomagierem młodszych od siebie o dwadzieścia czy trzydzieści lat scenografów, pomiotłem kierownika technicznego wydziału, pośmiewiskiem studentów, których mowy ciągle nie rozumiał, a sam, mówiąc do nich, kaleczył ją w każdym dźwięku.

Miał akurat przerwę na lunch. Przyniósł sobie z kafeterii sandwicza, jogurt i coca colę na plastikowej tacy do swojego pokoiku. Postawił tacę na biurku. Z kieszeni marynarki wyciągnął stary wycinek z gazety. Rozprostował go delikatnie. Położył przed tacą. Zabrał się do jedzenia. Wpatrywał się w wycinek. Była to krótka notatka z działu informacji, a raczej ciekawostek ze świata z *New York Times'a*. Pisano w niej, że w Polsce ma być wybudowany Pomnik Powstania Warszawskiego. Zenon jadł powoli. Po raz kolejny czytał tę notatkę.

2.

Zenon pochodził z Górnego Śląska, z Mysłowic. Z rodziny, którą potem określał we wszystkich ankietach personalnych i życiorysach jako „robotnicza”, lub „górnicza”, a w istocie lumpenproletariackiej. Jego ojciec pracował dorywczo w kopalniach, ale nie pod ziemią, tylko przy sortowaniu węgla. Co też zresztą nie było lekką pracą. Przenosił nad nią lżejsze: picie i bezrobocie. W 1939 roku, po przyłączeniu Górnego Śląska do Rzeszy podał się za Niemca, licząc na poprawę bytu. Prędko jednak został wcielony do Wehrmachtu i zginął gdzieś w białych pustyniach Rosji zimą 1943 roku.

Matka zarabiała praniem i sprzątaniami. Zmarła na gruźlicę tuż przed końcem wojny. Obojga rodziców Zenon prawie nie pamiętał. Rodzeństwa nie miał. Sprzed wojny wyniósł strzępy, kawałki osobnych wspomnień i obrazów. Nabożeństwo majowe w kościele parafialnym. Śpiewanie kolęd wokół lichej choinki. Posterunkowy w granatowym mundurze prowadzący gdzieś ojca za wykręconą do tyłu rękę. Jakiś pochód tłumu robotników pod

czerwonym transparentem. Woda lecąca z pompy na podwórku i bardzo ciężkie wiadro, które wrzynało mu się w palce, gdy je dźwigał do kuchni. Kawałki węgla wysypywane z brudnego worka, zebrane gdzieś koło nasypu kolejowego.

Jak pamięcią sięgał, był, musiał być samodzielny i dawać sobie radę na własną rękę. W czasie wojny chodził do niemieckiej szkoły i powodziło mu się nieźle. Należał do gangu młodocianych złodziejasków podkradających węgiel z pociągów. Trzeba było wskoczyć w biegu na mały stopień, wdrapać się na wagon i zrzucić pojedyncze bryły — a wszystko to w stałym zagrożeniu kulą strażnika. Potem, w niemniejszym zagrożeniu, zbierało się te bryły do worków. Ciągało małymi wózkami lub na sankach. Sprzedawało z dobrym zyskiem. Transakcji dokonywał zawsze szef gangu, starszy od wszystkich o parę lat, który brał połowę, a drugą połowę dawał do podziału, ściśle według tego, kto ile ukradł, ile brył węgla obalił. W gromadzie obowiązywały wilcze prawa. Ostra rywalizacja o zarobki, a zarazem bezwzględna współpraca i pomoc wobec zagrażającego z zewnątrz niebezpieczeństwa. Odpadanie rywali witano z zadowoleniem. Pojawianie się nowych specjalistów z nieufnością. Gang cementował strach wobec kolejowych strażników i bezwzględny posłuch wobec szefa. Zenonowi z tamtych lat pozostała na zawsze potrzeba poruszania się w grupie o mocnej więzi, związanej wspólnymi interesami, walczącej o swoje w zagrożeniu, bezwzględnej, a przy tym rozwiązałej. W dniach wypłat popijali ostro i rywalizowali w strzelaniu na odległość nasieniem.

Do najcięższych przestępstw w gangu należało zatajanie, chowanie, zagrzebywanie w błocie czy śniegu brył węgla dla siebie. Jednak Zenon to robił. Był więc stale zagrożony podwójnie. Przez strażników i przez kolegów. Robił to, bo potrzebował węgla. Nie dla siebie. Żadnemu z małych chacharów nie wolno było brać węgla na opał do domu. I Zenon nie przynosił węgla matce. Nie wolno też było sprzedawać węgla na własną rękę. Na to monopol miał szef i wszystko szło przez jego ręce. Ale Zenon nie sprzedawał węgla. Gdy udało mu się zachachmęcić jakąś sporą bryłę, przychodził po kryjomu w to miejsce koło torów, wygrzebywał bryłę, chował ją pod koszulę. Szedł chyłkiem do jakiejś opuszczonej budy przy kopalni, czy zaszywał się w krzaki, wyciągał krótki, ułamany, twardy nóż. I zaczynał rzeźbić.

Rzeźbił w węglu. Miał do tego dryg. Musiał to robić. Lubił to robić. Krzesił kolegów, domy, samochody, lokomotywy, złośliwi figurki żołnierzy niemieckich, samoloty, czołgi. Czasem wydłubywał krowy, kozy, świnię. Najbardziej lubił rzeźbić głowy ludzi. Gdy zaczynał skrobać, łupać, dźgać — zapominał o wszystkim

innym. Nie słyszał. Nie widział nic poza końcem swego narzędzia i czarnym żywiółem, który poskramiał. Musiał pracować szybko. Za każdym razem, gdy udało mu się zdobyć bryłę węgla, odszukać ją i zaszyć się z nią gdzieś, musiał wykonać całą rzeźbę, a potem ją od razu rozkruszyć i zniszczyć, tak aby nie został po niej ślad. Wiedział, jak postępuje szef ze złodziejami kradnącymi dla siebie. Nie chciał ryzykować. Za pierwszy raz dwadzieścia pasów na goło. Za drugi pięćdziesiąt. Za trzeci wyrzucenie z gangu. To była najgorsza kara. Ale musiał kraść ten kradziony węgiel. I w każdej wolnej chwili rzeźbił. Stał zagrożony — jakoś przeżył.

3.

W 1945 roku, włoczony w tłum na chodniku w Katowicach, oglądał generała Aleksandra Zawadzkiego, śląskiego wojewodę, odbierającego defiladę na 22 lipca. Nie wiedział, co to za generał, nie rozumiał, co to za święto. Ale bardzo mu się ten generał podobał i cała jego świta i cały ten dygnitarski kram, pomachujący, salutujący z trybuny, rozjeżdżający czarnymi amerykańskimi demokratkami po kocich łbach śląskich miasteczek.

Do nauki w niemieckiej szkole w czasie wojny dodał polską maturę w 1950 roku i zetempowski krawat. Jednak, z wyjątkiem czwórki z rysunków, mając ledwie same trójce na świadectwie, i to niektóre mocno naciągnięte przez sekretarza POP w nagrodę za ten krawat, nie próbował nawet zdawać na wyższe studia. Poszedł do liceum pedagogicznego. Tego ścieku dla niezdolnych.

Wiele nadal rzeźbił, w kradzionym jak dawniej węglu, tyle, że miał do niego łatwiejszy dostęp — pociągi z węglem nie miały teraz uzbrojonych strażników. Najlepiej z całej klasy wychodziły mu wszystkie zajęcia praktyczne, rysunki z natury i malowidła pastelami, rzeźby w glinie i gipsie. Robił też z zamiłowaniem papieroplastyczne dekoracje na różnego typu akademie, malował transparenty, oprawiał na długich żerdziach portrety przywódców ludzkości i ludowego państwa. Świetnie udawały mu się pokraczne, wielkie kukły Wuja Sama i zdrajcy Tito, niesione przez jego szkołę na pochodach pierwszomajowych.

W tym czasie odkrył swoją drugą pasję, po rzeźbieniu. Była to pasja do rządzenia. Na drugim roku liceum pedagogicznego został przewodniczącym ZMP i testując granice swoich upraw-

nień wzywał na dywanik nauczycieli, którzy ośmielili się nie stawiać piątek zetempowcom. Rzadko kiedy ktoś mu się przeciwstawił. Sam zapewnił sobie tą taktyką znakomite świadectwo końcowe. Jeszcze przed ukończeniem liceum zapisał się do partii. Jako przodownik pracy defilował w delegacji województwa stalinogrodzkiego na Zlocie Młodzieży Świata w Warszawie. Był już wtedy nauczycielem rysunków i drugim sekretarzem POP w swojej szkole numer 43 w Katowicach.

Po roku, zgrabnie podłożywszy świnię pierwszemu sekretarzowi, któremu w paru anonimach wyciągnął przeszłość w Hitlerjugend, został pierwszym sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej i faktycznym rządcą szkoły. Już wtedy zaczął montować sieć donosicieli rekrutowanych z wojennego gangu węglowych złodziejasków. Za informacje rewanżował się drobnymi upominkami i sporymi obietnicami przyszłych korzyści, jakie wynikną z trzymania z nim dobrze. Stał się postrachem kolegów nauczycieli, uczniów i starego, przedwojennego pedagoga, dyrektora szkoły. Zwrócił uwagę najpierw w komitecie dzielnicowym, a potem wojewódzkim. Był niezłym mówcą i sprawnym intrygantem. Wobec podwładnych i słabszych brutalny, podlizywał się zwierzchnikom. Czuł, że robi karierę, szło mu to, grał skupiony, nie hazardował, pił tylko z kim trzeba, przynosił czekolady właściwym sekretarkom, kadził tym, o których sądził, że pójdą w górę.

Uczył rysunków dobrze. Uczniowie bali się go jako partyjniaka, ale czuli też do niego respekt za wielką sprawność dłoni, trafne korekty i niezawodne oko. Sam ciągle dębał swoje rzeźby w węglu. Teraz jednak nie musiał ani węgla kraść, biorąc go po prostu ze szkolnej kotłowni, ani niszczyć swoich rzeźb. Ustawiał je na półkach w pracowni plastycznej w szkole, w klasach, w pokoju nauczycielskim.

W dzielnicy zaproponowano mu skrócone studia zaoczne na historii sztuki. Wyczuł w tym szansę. Nadal ucząc i sekretarząc w swojej szkole, odrabiał w kolejne niedziele zaliczenia i już na wiosnę 1956 był magistrem. Mając teraz zarówno mocną pozycję partyjną jak i studia wyższe, mógł liczyć na szybki awans na dyrektora jakiejś szkoły, może liceum. Los zdarzył jednak inaczej. Akademia Sztuk Plastycznych w Stalinogrodzie akurat miała wolny etat młodszego asystenta — do nauczania podstaw rysunku. Zenon dowiedział się o tym przypadkowo od jednego ze swoich kapusiów. W głębi serca czuł się niespełnionym artystą-rzeźbiarzem. Asystencka gaża miesięczna była znacznie niższa niż nauczycielska, wraz z dodatkami i nadgodzinami. Perspektywy wydawały mu się jednak opłacalne. Znalazłby się w systemie szkolnictwa wyższego i zarazem w środowisku artystycznym.

Mógłby może tam, choć wolniej, awansować i mógłby może rozwinąć skrzydła jako artysta. Złożył więc podanie o tę asystenturę w Akademii i poprosił w Komitecie dzielnicowym o poparcie jego starań. Przyjęto go.

W sierpniu z zalem opróżnił swoje biurko w przestronnym gabinecie pierwszego sekretarza w szkole i przeniósł papiery do szuflady starego stołu, w pokoju asystenckim na uczelni, który dzielił z czterema innymi jeszcze osobami. Na pierwszym zebraniu partyjnym, załatwiając przeniesienie, przedstawił się krótko i skromnie, starając się rozeznac układ sił w POP. Postanowił czekać cały rok nie wychylając się, zanim podszedłby do walki o stanowisko w egzekutywie. Musiał jednak czekać trochę dłużej, bo wybuchł październik, na powierzchnię wypłynęli jacyś zupełnie nieznani mówcy. Odbyło się masę wieców studenckich i narad partyjnych. Na wszystkich trzymał język za zębami i głosował z większością, nie wchodząc w ogóle w meritum spraw.

Na ASP uczył, jak dawniej w szkole powszechnej, rysunku. Sześć grup tego samego. Nudził się tym śmiertelnie. Dla rozrywki i odprężenia nadal rzeźbił w węglu. Ale swoich prac nie przynosił na uczelnię, będąc zbyt ambitnym, aby poddać się fachowej krytyce profesorów, i zbyt sprytnym, aby wierzyć w ewentualne komplementy studentów. Zapelniał swymi rzeźbami piwnicę w asystenckim hotelu, gdzie miał pokój.

4.

Jesienią 1956 roku, chodząc z wiecu na wiec, jako dyskretny obserwator z ramienia POP, poddając się emocjom tłumów, choć samemu wystrzegając się okazywania emocji, zakochał się w studentce Akademii Medycznej w Gliwicach, która wygłaszała płomienne przemówienia. Nie obchodziła go zupełnie antysowiecka i antypartyjna treść przemówień blondynki, choć notował sobie to i owo w notesiku, ale raczej falowanie jej piersi pod czarnym sweterkiem, kiedy gestykulowała na trybunie. Po serii nocnych zwierzeń w klubach studenckich, przy tanim, pisanim patykiem winie, w czasie których ona opowiadała mu o Katyniu, procesie szesnastu w Moskwie, o Jałcie i stalinowsko-bierutowskich zbrodniach w Polsce, a on o swoim dzieciństwie na niemczonym Śląsku, o biciu i prześladowaniach, jakich doznawał jako Polak, co było szlachetnym zmyśleniem, w które zresztą stopniowo coraz

mocniej wierzył, przenieśli swoje rozmowy do jego pokoiku i na wąski tapczan.

Ona była krakowianką, z dobrego, centusiowego domu. Ojciec, oficer, zginął w Ostaszku, brat w Oświęcimiu, matka była antykomunistką, do szpiku kości wrogą partyjnemu panowaniu w Polsce. Odwiedził ten krakowski dom, pełen pamiątek przeszłości, z obrazami Wyspiańskiego, Wyczółkowskiego i Mehoffera, które pożerał wzrokiem, z rzeźbami Dunikowskiego, Kenara i Karnego, wobec których drętwiał z zazdrości, z karabelami nad kominkiem i fotografią ojca siedzącego przed ziemianką w grupie oficerów otaczających brygadiera Piłsudskiego w grubym swetrze. Marysia, tak miała na imię młoda medyczka, objaśniała mu rodzinne koligacje, sięgające według tradycji jeszcze dworu królewskiego w Krakowie. Jeden z przodków miał być koniuszym Zygmunta Starego. Zenonowi okropnie to wszystko imponowało, a zarazem napełniało go potwornym wstydem z powodu jego własnego pochodzenia, o którym kłamstwa, jakimi się obstawiał, były nie mniej wstydlive niż prawda. Także jego obecna przynależność do partii była w tym domu i wobec tej dziewczyny czymś w rodzaju wstydlivej choroby. Zrozumiał jednak szybko, że fascynował Marysię właśnie swoim robotniczym pochodzeniem i зараżeniem komunizmem; wiedział, że się jej podoba — miał ciemną czuprynę, prosty nos, wydatne usta. Był niewysoki, ale dobrze zbudowany. Przekonał się także, co sprawiało mu dużą satysfakcję, że daje jej szalone przeżycia swoimi sprawnościami w ćwiczeniach anatomicznych, które przerabiali często i pracowicie, choć zawsze ona najpierw jakby się ubezpieczała kwadransem ościagań i skrupułów.

Z jej strony wyglądało to jeszcze bardziej skomplikowanie. Była wierząca. Obok fascynacji tym przystojnym, silnym, trochę ponurym Ślązakiem, miała potrzeby misjonarskie, wymyśliła sobie, że go nawróci na łono Kościoła i odciągnie od komunizmu. Zaproponowała mu, aby oboje poszli do spowiedzi, a potem się pobrali. Zarazem, aby wystąpił z partii. Zgodził się bez wahania na jedno, drugie i trzecie. Chciał tylko drugiego, tej dziewczyny, na stałe. Spowiedź była mu obojętna. Partia była mu potrzebna. Powiedział, że się wypisze przy jakiejś okazji, bo nie może tak bez powodu, wyrzuciliby go z uczelni. W konfesjonale szczerze powiedział księdzu, że jest niewierzący i przyszedł tylko na naleganie narzeczonej; nie powiedział, że jest partyjny. Na pytanie, czy zamierza żyć uczciwie, odpowiedział twierdząco. Dostał kartkę. Z tą kartką dali na zapowiedzi. Po zapowiedziach dostali ślub, na który boczyla się trochę rodzina Marii i na którym nie było nikogo z rodziny Zenona. Nikogo. Był sam na świecie.

Rodzice w grobach. Rodzeństwa nie miał. Ciocie i wujkowie gdzie się rozproszyli. Ktoś tam był, podobno, w Niemczech Zachodnich.

Miał ją więc teraz, bez tych jej ociągania i wyrzutów sumienia. Kochali się każdej nocy, obezwładniani po parę razy spazmatycznymi ekstazami. O polityce rozmawiali mniej niż w październiku. On zresztą przyjął zasadę zgadzania się na wszystko, co ona mówiła, a robienia swego. Na jej ponaglenia obiecywał, że już niedługo wypisze się z partii. Gdy zaszła w ciążę, przez parę dni oscylował między obrzydzeniem i tkliwością. Namawiał ją na skrobankę. Gdy się nie zgodziła, przez trzy dni pił bez przerwy. Potem był znów na przemian czuły i opryskliwy, opiekuńczy i chamski. Gdy urodził im się syn, przeżył chwilę szalonego szczęścia. Ale potem zaczęła się codzienność pieluch w hotelu asyntenckim, jednego pokoiku we trójkę, wnoszenia wózka na piąte piętro bez windy, niedospanych z powodu płaczu dziecka nocy. Zresztą nie w głowie mu była rodzina. Na uczelni działały się ciekawe rzeczy. Październikowi mówcy zaczęli milknąć, do głosu powracali starzy partyjni działacze. Zenon czuł, że musi ostro popracować, aby podwiązać się pod właściwe układy i kontynuować swoją partyjną karierę. Nie zrezygnował z niej ani na chwilę. Od czasu spotkania Marysi zaprzestał natomiast rzeźbić w swoim ulubionym węglu. Najpierw ona wypełniała mu cały czas i pochłaniała całą energię, potem wstydił się jej pokazywać swoje prace. Te dawne przyrzucił w piwnicy jakimś pudłami.

5.

Dzielnica o nim nie zapomniła. Zwróciło na niego uwagę województwo. W 1959 wprowadzono go jako drugiego sekretarza do POP na uczelni. Wiedział, że jest obserwowany, naturalnie zanotowano mu, że wziął katolicki ślub w kościele, ale się wytłumaczył naciskiem rodziny żony i wykupił notatkami z jej październikowych przemówień. Robił wszystko, aby nie popełnić następnego głupiego błędu, nie podpaść. Gdy uparła się, aby dziecko ochrzcić, powiedział żeby sama to załatwiła i nie poszedł z nią do kościoła. Pilnował się na zebraniach. Wszelkie decyzje, wystąpienia czy opinie uzgadniał ze zwierzchnikami.

W międzyczasie postanowił, że jest już pora zadbać o swój byt materialny i o dalszą karierę naukową. Rozglądając się bacz-

nie po kolegach i zbierając informacje od swoich donosicieli, doszedł do wniosku, że najlepiej ustawieni finansowo są nie „artyści”, malarze czy rzeźbiarze, ale „użytkowi”, zwłaszcza zaś „wnętrzarze” — mają najspokojniejsze życie, nie szarpią ich krytycy, żyją dostatnio, muszą tylko pilnować stosunków z członkami różnych komisji zatwierdzających projekty i przyjmujących realizacje. Postanowił wyspecjalizować się w urządzaniu wnętrz. Zgłosił propozycję doktoratu na temat mebli Bauhausu. Znając z czasu wojny niemiecki, miał dostęp do literatury przedmiotu. Temat był więc na zewnątrz atrakcyjny, a dla niego łatwy. Wymagał jednak ślęczenia nad źródłami. Przesiadywał godzinami w bibliotekach. Nie zajmował się dzieckiem. Maria zawałała egzaminy. Ich stosunki stawały się coraz gorsze. Wreszcie wręcz sprowokował ją do wyjazdu do matki.

Gdy zdał doktorat, został natychmiast promowany na adiunkta i w parę miesięcy potem na pierwszego sekretarza na uczelni. Nie musiał czekać długo na mianowanie docentem.

Znalazł się w śmietance śląskiej elity partyjnej. Popijał z sekretarzem do spraw propagandy KW, Norbertem Kubalskim. Miał okazje wypowiadać się na zebraniach w obecności Gierka. W 1963 roku wybrano go (wyznaczono) do Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach. Jego nominacja profesorska stała się tylko kwestią czasu i odczekania dla przyzwoitości paru lat od docentury. Wprawdzie jeden z recenzentów jego dorobku, stary profesor Fidecki, określił jego pracę o Bauhausie jako mierną kompilację, nie wnoszącą nic nowego do nauki, nie wpłynęło to jednak na wynik głosowania w Radzie Wydziału, ani w Senacie. Minister Nauki podpisał wniosek od ręki. Rada Państwa nie miała też żadnych zastrzeżeń co do pilnej potrzeby mianowania Zenona profesorem nadzwyczajnym, co też stało się faktem na wiosnę 1967 roku.

6.

Tegoż roku, po latach faktycznej separacji, rozwiódł się i ponownie ożenił. Tym razem z telewizyjną dziennikarką. Marta była parę lat starsza od Zenona, ale trzymała się świetnie. Miała regularne rysy i duże piwne oczy. Proporcjonalne ciało. Była tak jak Zenon rozwiedziona. Siedziała mocno w układzie. Miała ogromne doświadczenie łóżkowe. Oboje uznali, że dobrali

się w korcu maku. Była tak jak on partyjna i tak jak on pazerna na pieniądze.

Które robił. Nie mógł wręcz nastarczyć zamówieniom na urządzenie gabinetów sekretarzom partyjnym, dyrektorom kopalń i hut. Zarzucano go zleceniami na projektowanie wnętrz domów towarowych i dworców kolejowych. Zatrudnił licznych murzynów, którzy robili za niego. Zlecał wiele asystentom. Odpalał zamówienia kolegom, co umacniało jego pozycję w środowisku. Z czasem powołał cały zespół projektowy. Był jego szefem i miał udział finansowy we wszystkich zyskach. Sam nic już nie projektował, ale wszystkie prace skrupulatnie kontrolował. Kazał zmieniać. Zatwierdzał. Podpisywał. Decydował. Miał siłę.

Czuł się na Śląsku dobrze. W życiorysach już stale podawał, że jego ojciec był górnikiem dołowym i jeszcze przed wojną zginął w katastrofie, ratując zasypanych kolegów. Sam Zenon lubił się przebierać w górniczy strój na partyjne galówki. Taka była moda. Wyrobił sobie nawet formalne uprawnienia do czarnego munduru ze złoceniami, zaszczycony, na własną cichą prośbę, tytułem „Honorowego Górnika PRL”. Potrząsał wielkim pióropuszem i porbrzękiwał szpadą. Bełkotał przy wódce, że właściwie to należy do starej strzechy, a nie jest jakimś tam zaflądrzałym profesorem. Jako pierwszy sekretarz faktycznie rządził uczelnią. Jako kierownik zespołu projektowego rozdysponowywał pracę i pieniądze. Zbudował sobie willę. Z delegacji i zagranicznych konferencji przywoził do niej dywany, sprzęt audiowizualny, nowoczesne telefony.

Nie interesowało go nic poza pomnażaniem wpływów i kont. Gdzieś bokiem, poprzez daleką Warszawę, przeszły burze marca 1968 roku. Nawet się nie zastanowił, co się tam naprawdę stało. Zajmował się swoimi interesami.

Gdy w pełni okrzepł na uczelni i urządził chatę, odezwała się w nim znów zapomniana żyłka artystyczna. Postanowił ostrożnie wrócić do rzeźby w węglu. To teraz mogło nawet dobrze wyglądać: profesor śląskiej uczelni, syn górnika, brat i przyjaciel górniczej braci, sam honorowy górnik — rzeźbiarz brył węglowych.

W piwnicy domu urządził sobie obszerną pracownię. Zamykał ją na klucz. Nikt tam nie miał wstępu. Nawet Marta. Posługując się fotografiami, rzeźbił głowy dygnitarzy, którym jego pracownia urządziła gabinety. Dodawał takie rzeźby do wyposażenia wnętrza. Nie ujawniał, kto je robił. Podobały się. Dostawał telefony z zapytaniami o autora. Odpowiadał, że to nieważne, to należy jako gratisowy dodatek — do zamówienia. Gdy wyczuł, że jego głowy w węglu naprawdę się podobają i to nie tylko par-

tyjnym i przemysłowym magnatom, ale i specjalistom od rzeźby na uczelni, zaczął stopniowo puszczać farbę i przyznawać się do ich autorstwa. Zachowywał przy tym szczelną maskę skromności. Zbywał komplementy. W rezultacie doprowadził do tego, że wszyscy co znaczniejsi śląscy bonzowie czuli się wręcz zobowiązani mieć swoją podobiznę w węglu wykonaną przez Zenona. Proponowano mu ogromne honoraria. Nie brał ani grosza. „Amatorem jestem”, mówił. Usłudźni koledzy zaproponowali mu więc, by został zawodowcem, wstąpił do Związku Polskich Artystów Plastyków. Dał się namówić z głośnymi oporami. Przedstawił bardzo grzecznie i pokornie dwadzieścia różnych rzeźb w węglu jako prace kwalifikacyjne. Komisja w Warszawie nie miała problemu z pozytywnym ich zaopiniowaniem. Zenon został formalnie artystą rzeźbiarzem. Nadal jednak nie chciał za swe rzeźby brać pieniędzy. Ofiarowywał je. Czyniło to prezent tym bardziej cennym i zobowiązującym.

Zdecydował się zagrać o wyższą stawkę i wyrzeźbił Gierka. Ofiarował mu duże węglowe popiersie na kolejną Barbórkę. Gierek zwrócił wtedy po raz pierwszy baczniejszą uwagę na Zenona. Kazał dać sobie na biurko jego akta — i partyjne, i uczelniane, i ze służby bezpieczeństwa. Było tam wszystko dokładnie: o ojcu-żołnierzu Wehrmachtu, o słabościach prac naukowych Zenona, o posiadanej i opłacanej przez niego sieci donosicieli, o jego kolosalnych zarobkach w zespole projektowym. Gierkowi zaimponował ten życiorys. Zdecydował, że Zenon, z taką przeszłością — nadającą się świetnie do szantażu, i z takimi umiejętnościami budowania swojej kariery i materialnego urządzania się, może być naprawdę użyteczny. Może wejść do mafii. Ma kwalifikacje. Napisał do Zenona list z podziękowaniem za rzeźbę i zaczął go wyróżniać na partyjnych naradach. Niebawem włączył go do sekretariatu KW, powierzając mu sprawy kultury i nauki. To już było bardzo wysoko.

7.

Po przewrocie grudniowym w 1970 roku było dla Zenona oczywiste, że zaproszenie od Gierka do Warszawy jest tylko kwestią czasu. Gierek ściągał tam po kolei swoich śląskich faworytów i pretorianów.

Zenon nie pomylił się. Miał już ogromne wyczucie partyjnych układów. Wiedział, że należy do składu, który teraz gra. W kwiet-

niu 1971 roku towarzysz Edward przysłał po Zenona samolot do Katowic, z zaproszeniem na kolację. Z lotniska mercedes przewiózł go do rezydencji pierwszego sekretarza. Byli już Kubalski, obecnie prezes telewizji, niedawno przeniesiony ze Śląska, i Łukaszenko, sekretarz KC do spraw propagandy.

Już przy przekąskach Gierk poprosił Zenona, po starej śląskiej znajomości, o urządzenie mu gabinetu w KC.

„Tak, wicie, żeby zagraniczne delegacje nie patrzyły na nas jak na prowincję. Najgorzej, pierona, jest z tym Okęciem. Czysty wstyd. Ale zbudujemy nowe lotnisko, że się Orly schowa. A na razie, skromnie, gabinet”.

Łukaszenko, najwyraźniej upoważniony, napomknął przy zupie, że na najbliższym plenum KC Zenon może się spodziewać dokooptowania. Kubalski zaś, przy potrawce z zająca, również spojrzawszy najpierw na Gierka, a potem na Łukaszenkę, jakby upewniając się, że wykonuje instrukcje, zaproponował Zenonowi przejście do telewizji, do centrali.

„Potrzebujemy tu swoich ludzi, stworzymy ci stanowisko drugiego zastępcy prezesa do spraw artystycznych, z rangą wiceministra. Co będziesz siedział na prowincji, musisz być blisko towarzysza Edwarda, musisz mu służyć radą, a ja się bez ciebie po prostu nie obejde”.

„Wejdziecie do grupy nadzwyczajnych, specjalnych doradców towarzysza pierwszego sekretarza”, postawił kropkę nad i Łukaszenko. „Obejmiecie swym zakresem środowiska artystyczne i naukowe. Będziecie informować o sytuacji i wpływać na nastroje. Towarzysz pierwszy wam ufa. I ja mam do was pełne zaufanie”.

Zenon dziękował, podniecony i szczęśliwy, zachowując jednak mimo ostrego picia równowagę między niedbałym stylem partyjnej konfidencji a dystansem wobec góry, ba, wobec szczytów władzy.

Sam był na szczycie. Na wierzchołku. Jako „profesor” i „artysta”, a nie czysty aparatczyk, nie mógł chyba zająć wyżej. No, może o jeszcze jedno oczko w partii, jak już będzie w KC — do sekretariatu. Spojrzał bacznie na pijanego Łukaszenkę. Przywiozę ci następnym razem twoje popiersie z węgla, a zaraz potem się do ciebie zabiorę, zdecydował. Czemu nie? Może Łuka się na czymś pośliznie, obsunie, albo w ogóle przekreśli? A jak nie, to mu się pomoże. Już ja coś na niego znajduję. Uruchomię swoich ludzi. Wiadomo, że ma cały harem i jest niestrudzonego konsumentem pornografii. A to zjada serduszko, zjada. Więc następna meta, to będzie sekretariat KC. O Biurze Politycznym na razie nie trzeba myśleć. Na członkostwo Akademii Nauk też

jeszcze za wcześnie. Ekonomia strategii, jak sam mawiał. Acha, ale jest jeszcze oczko w karierze akademickiej, które można przeskoczyć właśnie teraz — musi zostać profesorem zwyczajnym. Jest na to pora. Wspomniał o tym żartem Gierkowi przy kawie:

„Nie potrafiłbym być waszym nadzwyczajnym doradcą, za duży byłby dla mnie awans. Wolałbym być zupełnie zwyczajnym”.

Gierek chwilę myślał intensywnie. Po chwili jednak zrozumiał aluzję. Nie tak dawno, jeszcze jako pierwszy sekretarz na Śląsku, załatwiał uzwyczajnienie profesorskie swojemu synowi. Roześmiał się, pokiwał głową:

„Będę pamiętał, towarzyszu profesorze”. Dodał poważnie: „A co ja zapamiętam, tego Polska nie zapomni”. Brylował i królował. Celebrował swoją władzę. Smakował siłę. Był dobroduszny i łaskawy. Pewny siebie i potężny.

Wspaniale jest siedzieć przy jednym stole z takim człowiekiem. Cudowny, wcale nie wstrętny smak ma ta wódka, choć strasznie otrząsa, to nie smak, tylko chyba za dużo wypięm. A co? Z kim piję, to piję! Zenon był w euforii.

„Pod waszym kierownictwem, towarzyszu Edwardzie, skupią się wszystkie najlepsze siły narodu. A my, stara strzecha, wokół was jak mur. Pomożemy!”.

8.

Po miesiącu Zenon urządził w Warszawie nie jeden, gierkowy, ale trzy gabinety równocześnie. Gierka, Kubalskiego i swój. Były oczywiście różne, wyrażały hierarchię i głęboko zakodowane w mózgu Zenona partyjne poczucie rangi. Wszystkie trzy miały być jednak imponujące. Stanowiły przemyślaną kompozycję mebli-antyków i nowoczesnych szczegółów wykończenia. Fotele w stylu Louis XIV zderzały się z telefonami AT&T. Angielskie skórzane wiktoriańskie fotele z telewizorami Sony. Do tego dochodziły perskie dywany. Japońskie kompozycje kwiatowe. Żyrandole kute na zamówienie w Szwajcarii. W gabinecie Gierka wielkie biurko z fotelem było zarazem tronem i stanowiskiem dowódczym. Po drugiej stronie gabinetu stał stół konferencyjny. Zakątek z fotelami służył do bardziej intymnych rozmów. Oczywiście za zamaskowanym ukrytym przejściem była sypialnia, tak zwany przez obstawę pierdólnik, z ogromnym szerokim łóżem i łazienką. Był tam też salonik i kuchenka z potężną

lodówką; szafki z kieliszkami rozmaitych rozmiarów. Obficie zaopatrzone barek.

Zenon latał osobiście do Wiednia kupować kafelki, zasłony, wykładziny, klamki i kurki. U Gierka były pożyczane. U Kubalskiego srebrne. Sam zadowolił się metalowymi. Meble sprowadzał z Francji, uzupełniając je z krajowych Des. Po tapety poleciał do Londynu. Przy okazji, w ramach tej samej faktury dewizowej, sprawił sobie parę nowych garniturów, koszul, krawatów i butów, nie zapomniał o smokingu — pod rządami Edwarda Pierwszego luksus wracał szybko do łask, kiedyś wyklęty przez tego dziwaka Gomułkę. Teraz nie do pomyslenia był bał bez smokingu; żonie Zenon kupił trzy suknie u Niny Ricci i pantofelki balowe u Bally.

Brygady remontowe, wspomagane przez pracownię dekoracji i rekwizytów telewizji pracowały szybko w gmachu KC i wieżowcu dyrekcji telewizji na Woronicza. Ludzi płacono na akord. Gdy Gierek i Kubalski wrócili we wrześniu z urlopów — Gierek z tradycyjnego Krymu, a Kubalski z Wysp Azorskich — wszystko już było gotowe. Chwalili.

(Czy to tak było dokładnie? Zapewne nie. Choć może podobnie. Ale tak widział Zenon po latach swój raj utracony).

Willę w Katowicach Zenon zachował. Ale w Warszawie kupił drugą. Żonę sprowadził do warszawskiej telewizji. Tak, wybrano go do Komitetu Centralnego. Tak, mianowano go profesorem zwyczajnym. Tak, osiągnął szczyty w peerelowskiej hierarchii. Wdrapał się, wlaź na wysoką górę. Siadł na niej okrakiem. I spojrzął w dół. I przestraszył się.

To stało się zaraz pierwszego dnia, gdy wprowadził się do swego świeżo urządzonego gabinetu w telewizji. Usiadł rano za biurkiem. Spróbował miękkości fotela. Popatrzył na galerię różnych telefonów. Jeden z nich był bezpośrednią linią do Gierka. Musnął leżący po prawej stronie kalendarz. Poprawił wetkniętego po lewej stronie w zgrabny marmurowy uchwyt Pelikana. Popatrzył na stojącą po prawej lampę — był mańkutom. Rozejrzał się po meblach, tapetach, obrazach, monitorach.

I bez żadnego szczególnego powodu zaczął się bać. Utraty tego. Wszystkiego. Zawału. Pośliźnięcia się na byle donosie. Upadku. Po raz pierwszy w życiu zobaczył swoją karierę jako potwornie wysilone, napięte do granic wytrzymałości przepychanie się, darcie się w górę, ugniatanie w dół kolejnych rywali, wazelinowanie kolejnych zwierzchników. Usłyszał swoje przemówienia, toasty, wypowiedzi, referaty i zdrętwiał zrozumiałwszy, że właściwie stale kłamał, wypośrodkowując jedynie stopień łgarstwa zależnie od tego, kto go słuchał. Ujrzał się w poczekalniach,

przy słuchawce telefonicznej, przy swoich kolejnych biurkach. Oczekującego na posłuchanie u kogoś ważniejszego, przytakującego, odbierającego instrukcje, dopytującego się o zdanie, a także wydającego bez mrugnienia okiem opinie miażdżące czyjs dorobek, podpisującego bez zawahania długopisu nad kartką zwolnienia z pracy, nastawiającego uszu na intonacje rozmówcy, a nie na treść tego co mówi, wyczuwającego skąd wiatr wieje, wróżącego z ilości wypalanych dziennie przez delikwenta papierosów, jaki jest stan jego akcji na partyjnej giełdzie i stan jego naczyń wiencowych. Iluż sprawności i umiejętności uczył się latami w szkole nomenklatury.

Nagle zatęsknił za swoim synem, którego widywał tylko od czasu do czasu. Ostatni raz pięć lat temu, po maturze. Przywiózł mu do Krakowa drogi złoty elektroniczny zegarek. Piotr uściśnął ojca bardzo serdecznie. I powiedział, że wstępuje do zakonu, do dominikanów. Zenon zaniemówił. Pomyślał odruchowo, że gdy się o tym dowiedzą w KW w Katowicach, tam był jeszcze wtedy, to nie będzie się umiał wytłumaczyć, przybędzie mu potworna krecha w aktach. Zapytał syna, czy się na pewno dobrze zastanowił, bo on może mu dopomóc w dostaniu się na każdy rodzaj studiów, na każdą uczelnię. Ale usłyszał, że to jest decyzja dojrzała i ostateczna i żeby się nie niepokoił. Nie rozumiał. Choć od lat nie zajmował się synem, traktował go jednak jako swoją własność. I nagle go tracił.

Pożałował swojego dziecinnego, pospiesznego i ukrywanego rzeźbienia w węglu, które było tak wielką radością i przyjemnością, dawało mu chwilę tajemniczego szczęścia.

I przypomniał sobie młodzieńcze pieszczoty swojej pierwszej żony, tak pełne uwielbienia i oddania, podczas gdy z obecną prowadzili rutynowe gry erotyczne, z wykorzystaniem środków ekscytujących, chemicznych i mechanicznych, które Zenon kolekcjonował z zachodnich sexshopów.

Uświadomił sobie, że od — ilu to już? — przeszło trzydziestu lat stale się spieszył. Nawet leżąc na plaży w Jugosławii, obmyślał do kogo najpierw zadzwoni po powrocie. Do kogoś w KC? Czy do znajomego pułkownika milicji? Może do ministerstwa? Nawet siedząc w kinie, zastanawiał się, co przyniesie jutrzejsza poczta, ile będzie donosów, anonimów, podań do odrzucenia i poleceń do przełknięcia, a może będzie jakieś pismo z urzędu podatkowego, domagające się wyjaśnienia nieksięgowanych dochodów w pracowni projektowej, wpisanych w rozliczenie delegacyjne wódek u Wierzynka i strip-teasów w Crazy Horse? Nawet w nocy, wierząc się bezsennie, nasłuchiwał, czy nie dzwoni telefon. A im bardziej nietypowa pora, z tym wyżej mógł to być

dzwonek. Przygotowywał w myślach dobrze brzmiące odzywki, planował sprawozdania i referaty. Doganiał przekroczone terminy oddania projektów. Wpadał spóźniony na narady. Pomyślał, że nie ma już przed sobą tak wielu stopni w karierze, może w ogóle niewiele lat życia. Może są już na jego tropie. Jest ich wielu. Konkurenci, koledzy, podwładni, którym zagradza drogę do awansu i zwierzchnicy — jeszcze ich kilku zostało — którzy mogą się go zacząć obawiać. Jedno i drugie jest niebezpieczne. Mogą ściągnąć od dołu. Mogą uderzyć z góry. Bardzo wielu czyha tylko na jego stołek, gąź, gabinet. Jest obserwowany, osaczony i namierzony.

Siedział sam w swoim nowo urządzonym gabinecie i przyszło to zupełnie nie wiadomo skąd. Następną jego myślą było, że to nie jest sprawa tylko wewnątrz mafii, gangu, stada, to nie tylko sprawa między nim a resztą partyjnej nomenklatury, ale między nim a ludźmi. Bo jest gdzieś, i także patrzy na niego, także śledzi jego poruszenia, jakaś ogromna, szara, bezkształtna rzesza, masa. Tłum zwykłych mieszkańców tego kraju, którzy nie liczyli się dotąd zupełnie w jego grach, wyliczeniach, rozdaniach i zagrywkach. Jakieś kobiety stojące w kolejce przed sklepem mięsnym, mijane pędem, gdy spieszył się, spóźniony na ranny samolot. Ci górnicy, ubrani galowo, czerniejący zbitą masą w katowickim spodku, podczas gdy on siedzi naprzeciw nich, na podium, wyżej, za stołem prezydialnym. I ci sami górnicy, wywalający się z kopalnianej windy, zmęczeni i brudni, rozstępujący się spokojnie na boki, gdy on oprowadzając zagraniczne delegacje pokazuje śląskie bogactwa węglowe. Te anonimowe miliony przed telewizorami, z których on leje kłamstwa i propagandę, krzewi antywartości i buduje gładką fasadę reżimu. Jacyś ludzie zmarznięci i przemoczeni, przeciągający tabunami w dole, pod pierwszomajową trybuną, na której on stoi pod parasolem, wysoko.

Nie były to lekkie myśli. Nie mógł sobie z tym wszystkim dać rady. Ale trzeba było żyć. I żył. Nieźle. Tak trwało. Ta sama rutyna. Przez parę lat. Te same ruchy. Te same strachy. Te same rozdania. Te same układy. Te same alkohole. Te same rytuały. Te same zakłęcia. Te same formułki. Nie ma co opowiadać.

Nie miał czasu na roztkliwianie się. Rządził. (Ludźmi). Kierował. (Podległymi mu redakcjami telewizji, podwładnymi). Przewodniczył. (Naradom, posiedzeniom, konferencjom). Dysponował. (Pieniędzmi, zaszczytami, przywilejami). Donosił. (Komu trzeba). Działał. (Pozornie, pozornie...). Czekał. (Na okazję). Funkcjonował. (Intensywnie, zwłaszcza jeśli chodzi o funkcje ciała). Gromadził. (Rzeczy, waluty). Pławił się. (W zaszczytach).

Puszył. (Swoją siłą). Sprawował. (Swoją władzę). Celebrował. (Swoją wielkość). Myślał. (Niewiele; jednak od czasu do czasu wszystko w nim jakby wewnętrznie stawało, jakby zanikały funkcje życiowe).

9.

Gdy zostawał sam w swoim dygnitarskim gabinecie, wpadał coraz częściej w zadumę.

Był właśnie głęboko pogrążony w myślach, gdy odezwało się bzyczenie telefonu.

Powiedział do mikrofonu:

„Proszę mnie teraz z nikim nie łączyć”.

Bzyczenie odezwało się znowu. Nacisnął klawisz.

„Co tam, Urszulko?”

„KC, wydział organizacyjny”, usłyszał głos sekretarki.

„No, dobrze, już dobrze, tak im się spieszy?”

Dyżurny z komitetu centralnego informował go, że na dziesiątą wieczorem zwołano nadzwyczajne, tajne posiedzenie KC dla poinformowania o rozwoju wypadków w Ursusie i Radomiu.

„Jaki wypadków?”, zapytał.

„Mam polecenie informować tylko o posiedzeniu, towarzyszu prezesie”, usłyszał. I szczęknęła słuchawki.

Wyszedł do sekretariatu.

„Coś się dzieje w Ursusie, Urszulko?”, zapytał.

„Strajki. I w Radomiu też. Pałą komitety”. Była wyraźnie wystraszona.

Mają nas, pomyślał Zenon. Dopadli nas. Zaczęło się.

Uczestniczył w tym nocnym posiedzeniu KC. I jeszcze w paru innych. Wszyscy byli spanikowani i sfrustrowani. Widział, że to nie tylko jego własne głęboko skrywane lęki, strachy, wątpliwości, napięcia, ale że to samo czują inni, cała ta klika, cały system. Jak zawsze w czasie kryzysu obrał kurs środkowy, nie wychylał się, starał się nikomu nie narazić. Milczał.

W myślach wygłaszał jednak długie przemówienia. Słyszał siebie, jak mówi:

„Trzeba się wreszcie uderzyć w piersi, towarzysze. Trzeba spojrzeć sobie nawzajem w oczy. I prawdzie w oczy. Zajmowaliśmy się tylko własnymi karierami i własnymi kieszeniami. Powiększaniem wpływów. Robieniem pieniędzy. Chodziło o władzę i bogactwa. Droga do nich prowadziła stale wewnątrz

naszych własnych, zamkniętych struktur, gmachów, siatek organizacyjnych, w obrębie partii, w zamkniętym obiegu tej i tylko tej mafii. Jak w naszym gangu złodziej węgla”.

Głosy z sali: „Co on gada?”.

Kontynuuje: „Rywalizowaliśmy tylko między sobą. Strzeżliśmy się rywali, starali przypodobać zwierzchnikom, szukaliśmy sprzymierzeńców i identyfikowaliśmy wrogów. Walczyliśmy ze sobą zażarcie, a zarazem popieraliśmy się nawzajem z krańcowym oddaniem. Bo byliśmy zjednoczeni przeciw tym wszystkim, co poza naszą grupą. Obchodzili nas oni tylko o tyle, o ile nam mogli zagrozić. Ci jacyś robotnicy, robiący w Ursusie deficytowe ciągniki, jedną z fantazji towarzysza Edwarda...”.

Towarzysz Edward rzuca mu zdumione spojrzenie, tego się po nim nie spodziewał. Zostanie przykładowie ukarany. Ale Zenon nieustraszenie mówi dalej:

„Myśmy lekceważyli i marnotrawili pracę ludzi! Pilnowaliśmy tylko, aby bzdura pracy robotników Ursusa nie była zbyt oczywista. Tak samo jak idiotyzm roboty w Hucie Katowice, do której dokładamy każdego dnia miliony. Baliśmy się górników i ich żon, wystających w kolejkach po mięso i tylko z tego strachu staraliśmy się skracać te kolejki, nie dlatego, aby im się lepiej żyło. Oszukiwaliśmy łódzkie włóknianki różnymi świadczeniami socjalnymi zacierając fakt, że stale miały zanizone płace podstawowe. Mieszaliśmy ludziom w głowach propagandą, zakłamaliśmy podręczniki, fałszowaliśmy historię. Dusiliśmy chłopów, siedzących ciągle na swoim, tę zarazę systemu i konkurencję drobnych posiadaczy, wobec nas, wielkich posiadaczy. Zostawialiśmy im tylko tyle, ile wystarczyło, żeby nie upominali się za głośno o to, co należało do nas. Tak to było, proszę towarzyszy. Taka jest prawda!”.

Prowadzący zebranie zaczyna walić pięścią w stół. „Odbieram wam głos! Odbieram wam głos!”.

Sala faluje niepokojem. Ktoś woła: „Dajcie mu gadać. Niech wali!”. Inni krzyczą: „Na białe niedźwiedzie z nim! Na białe niedźwiedzie!”.

Nie daje się zagłuszyć, ucisza salę i mówi dalej, dramatycznym, gromkim głosem:

„Nie patrzyliśmy też na tę ziemię. Na jej trawy i drzewa. Na jej wody i kłosa. Na jej piękno. Żyzne pola zamienialiśmy w ugory, zatrufowaliśmy wody, zanieczyszczaliśmy powietrze. Ta ziemia była użytkowana, eksploatowana, rozdzierana, raniona, dewastowana, nienawidzona. Jako znak trwałości, urągający naszej przeczuwanej przemijalności. Jako milcząca, spokojna, niezachwiana potęga, tak ogromna wobec naszej kruchej władzy. Jako

substancja i esencja polskości, przypominająca nam ciągle o obcym pochodzeniu naszych nadań. Myśmy tę ziemię sponiewierali. Spustoszyli i spustynili. Myśmy się od niej odwracali z pogardą. Liczyły się tylko wakacje nad Morzem Czarnym, Adriatykiem, lepiej nad Morzem Śródziemnym, jeszcze lepiej na Karaibach, zależnie od rangi. Kto by spędzał wczasy w kraju? Bidota i hołota. Liczyło się zaliczyć Budapeszt, Rzym i Paryż, a nie Baranów, Trzemeszno i Wawel. Nigdy nie byłem na Wawelu. Nie miałem potrzeby. Nie musiałem. Nawet Marysia mnie nie zaciągnęła pokazywać stajnie swojego pradziadka”.

Podnoszą się wołania: „Jaka Marysia? Jakie stajnie? Rozum mu odjęło! Zwariował! W łeb go!”.

Nadludzkim wysiłkiem ucisza salę i ciągnie swój wywód, swoje wielkie przemówienie rozliczeniowe, on, uczoney, artysta, sumienie narodu:

„Nie oszukujmy się dłużej, towarzysze! Tak było! Tutaj, w kraju, coś warte były dla nas tylko lasy. Ze względu na polowania. Ale polowaliśmy sami ze sobą. W swoich zamkniętych kółkach. To były najlepsze wódki i bigosy i najlepsze warunki do zawiązywania układów, sojuszy, planowania strategii i posunięć. Tak było, prawda? Również w lesie można było się spokojnie spotkać z towarzyszami radzieckimi. Pogadać w cztery oczy z kimś wpływowym — tam. Podreperować, popchnąć swoją karierę — tu. Tak było, nikt mi nie zaprzeczy! Ale poza tym las był kupą drewna. Albo połacią dzikich krzaków. Można go było rabunkowo wyrąbać, gdy potrzeba było zarobić trochę dewiz, bo akurat nie było zagranicznej pożyczki pod ręką. Można go było zapylić, gdy towarzysz pierwszy sekretarz w Kielcach chciał koniecznie mieć swoje białe zagłębienie. A niech ma — jeden ma zagłębienie węglowe, inny miedziowe, to ten może mieć cementowe. Zagłębienie cementowe w Górach Świętokrzyskich! I tak dzieliliśmy tę ziemię na swoje włości, księstwa, dzielnice, folwarki, działki. Chapaliśmy i braliśmy. Użytkowaliśmy rabunkowo. Bez szacunku i zachwyty dla tej ziemi. Dla płynących w jej wnętrzu wód i powietrza nad nią. Bez miłości”.

I teraz na sali jest już cisza. Wszyscy spuścili głowy. On popija wodę ze szklanki i kończy swą mowę:

„Prawowitych dziedziców tej ziemi stłoczyliśmy gdzieś w dole, w blokach — slumsach, w kłatkach mieszkań z rakotwórczego betonu, w zagrożonych zawałami kopalniach, w niewentylowanych halach fabrycznych, na małych poletkach. Ustawiliśmy ich w kolejkach. I rzucaliśmy im od czasu do czasu jakieś odpadki, okruchy z naszego pańskiego stołu. Aby zginali się po nie i nie spoglądali w górę. Na nas. Jeżdżąc mercedesami i oplami dawa-

liśmy im to malucha na raty, to dostawę trabantów-mydelniczek. Mając dostęp do najlepszych kurortów całej Europy, dawaliśmy im kuse ilości wczasów w Bułgarii. Sami mając konta w bankach szwajcarskich, pozwalaliśmy im otwierać konta w Pewexach. Zaopatrując się we własnych sklepach, rzucaliśmy im do ich sklepów towarzysza dyrektora, związanego układem, pozwalaliśmy im rozłosowywać zbywające kanapy i lodówki. Oczywiście wiele towarów, produktów, przywilejów, uprawnień — było tylko i tylko dla nas. Zastrzeżone. Zarezerwowane. Zawsze jednak obawialiśmy się ich oczu, ich pytań. Ich gniewu. Więc chowaliśmy nasze dacje w lasach. Nasze wille w osobnych osiedlach. Nasze sklepy w gmachach partyjnych. Na nic się to nie zdało. Rozdrażniliśmy ludzi. Odebraliśmy im resztki nadziei. Doprowadziliśmy ich do rozpacz. Stale baliśmy się, że mogą się o swoje upomnieć, wyroić się na ulice, wdrzeć się do naszych gmachów, rewirów. I tak się zdarzało. Pobili sekretarza w Poznaniu. Podpalili komitet w Gdańsku. Teraz spalili KW w Radomiu. To się stało! Taka jest sytuacja! I to jest nasza wina! Uderzmy się w piersi, towarzysze!”

To była jedna wersja przemówienia, którego nie wygłosił. Siedział cicho na wszystkich posiedzeniach. O, bardzo cicho.

Inna wersja brzmiała tak — wyszedłby na trybunę i powiedział krótko:

„Towarzysz Edward dał ludziom za wiele. I zapragnęli więcej. To błąd. Trzeba ich trzymać nisko i krótko. Na większą odległość. A teraz się rozhuścili. Nie wiadomo jaki numer mogą jeszcze wykroić. Trzeba przywrócić ład i porządek! Silnej ręki nam trzeba!” I zeszedłby z trybuny wśród oklasków sali.

Słuchając mętnych i pokrętnych wypowiedzi na plenach Zenon myślał:

My nie znamy własnego społeczeństwa. Tych wszystkich ludzi, którzy nie należą do naszej grupy. Nie chcemy ich znać. To zarazem strach i odraza. Obrzydzenie i pogarda. Wobec nich i wobec swojej własnej przeszłości. Bo ktokolwiek z nich wyłania się, wysuwa do pierwszego szeregu, zostaje albo unicestwiony, jak ten Goździk z FSO w październiku — bezczelny, z przywódca partii na trybunę — albo zostaje wciągnięty do naszych szeregów. I sam się odwraca od swojej własnej przeszłości. Zaczyna się jej wstydzić i nienawidzić jej. I tych ludzi, z których wyszedł. To dobrze. To łączy go z nami. Odwraca się tyłem do tłumu. Staje się nasz. Wchodzi do klasy panów. To dziwaczne, jak krótka droga wiedzie od klasy robotniczej do klasy panów. Przeskok. Ja sam... Człowiek się zmienia. Zaczyna słuchać już tylko w górę. Staje się głuchy na to co w dole. I idzie w górę.

Albo odpada. Na śmietnik. W zapomnienie. A jeśli czasem wraca do tych, z których wyszedł, to tylko po to, żeby jątrzyć i siać zamęt. Najgorsi są ci, którzy nie byli tam, w dole, nigdy, a nie weszli też na dobre do nas, na górę. Ci jajogłowi intelektualści. Jakiś Kuroń, jakiś Michnik, jakiś Modzelewski. Ci zbyt inteligentni profesorowie, jacyś Kołakowscy czy Wrzesińscy. Ci zbyt dociekliwi dziennikarze. Bratkowski, Kubikowski. Ci pisarze-komuniści nawróceni na antykomunizm. Woroszyłski, Konwicky, Brandysy. Same te nazwiska wywołują odrazę i pot. Co oni jeszcze wymyślą, wygłówkują? A zarazem jakoś im człowiek zazdrości w duchu. Może oni przeżyli to samo co ja teraz? Może też stanęli przed ścianą, przed kupą bezsensu, przed gruzowiskiem niepotrzebnie przeżytego życia? Zrobili salto. Wywinęli się na drugą stronę. Dostali za to po łapach. Dezerterzy. Ale coraz ich więcej. Szczęśliwcy? Może trzeba by z nimi pogadać? Może trzeba by spotkać się przy wódce z jakimś prawdziwym robotnikiem? Ale gdzie? Jak go znaleźć? Jak do niego dojść? Może trzeba by po raz pierwszy przyjrzeć się tej ziemi? Pojechać, czy ja wiem, nawet nie na Mazury, tylko po prostu w pole, sięść na miedzy, popatrzeć na daleką linię lasu. Dotknąć dojrzałego kłosa?

I nagle — w trakcie jakiegoś zebrania, układając sobie przemówienia, których nigdy nie wygłaszał, rozmyślając nad swoim życiem i nad tym, co działo się w kraju — Zenon poczuł wielką potrzebę ekspiacji. Zmiany. Ogarnęło go natchnienie do dokonania jakiegoś wielkiego czynu. Dla tych ludzi. Dla tej ziemi.

Ale czego? Przecież nie wystąpi na posiedzeniu prezydium Telekomitetu, czy na plenum KC z jakimś ni przypiął ni wypiął przemówieniem. Nie zredaguje jakiegoś głupawego protestu, czy projektu reform. Ale przecież jest artystą. Wypowie to przez wielkie dzieło sztuki.

Stworzy dzieło, w którym zakopie głęboko swoje kłamstwa, przerażenia i poczucie winy, które pojedna go z tymi ludźmi i z tą ziemią.

10.

Nadarzyła się okazja.

Chcąc załagodzić nastroje, odwrócić uwagę od represji wobec robotników i działań właśnie zawiązanego w ich obronie komitetu, postanowiono wybudować w Warszawie jeszcze jeden pomnik.

Pomysł ten podsunął Gierkowi Łukaszenko. Polacy lubią pomniki. Rocznice. Odsłoniłoby się pomnik na 35-lecie wybuchu Powstania Warszawskiego, w 1979 roku, z wielką pompą. Gierek kupił pomysł.

Miała pójść szeroka akcja propagandowa i zbieranie składek w całym kraju, tak, aby każdy poczuł się włączony i każdy się tym zainteresował. Był to dobry pomysł. Sprytny. Przedstawiał partię wyciągającą rękę do pojednania z narodem, partię — stróża narodowej tradycji. Gierek ogłosił w przemówieniu barbórkowym decyzję biura politycznego o zbudowaniu w centrum Warszawy Pomnika Zwycięskiego Ludu Stolicy, tak miał się ten pomnik nazywać oficjalnie, ale wydział prasy i wydział propagandy dostały instrukcje, żeby wyraźnie łączyć ten pomnik z Powstaniem Warszawskim i w ten sposób manipulować nastrojami. Minister Kultury Zasuwa powołał stuosobowy komitet społeczny budowy pomnika, zapraszając doń wielu żołnierzy Powstania. Ogłosił też oficjalnie konkurs na projekt pomnika i ustanowił sąd konkursowy.

Zenona zaproszono do jego składu. Zadzwoił do Zasuwy i powiedział, że nie może tego obowiązku przyjąć, bo sam zamierza do konkursu stanąć. Zasuwa się zdziwił, znał Zenona jako aparatczyka, a nie jako twórcę, ale nie nalegał. Po paru tygodniach dostał w prezencie okazałych rozmiarów swoje popiersie wyrzeźbione w węglu, z serdecznym listem od Zenona. Zasuwa podziękował gorąco i obiecał wysłać mu zaproszenie do udziału w konkursie, który miał być oczywiście zamknięty, dla swoich. Z góry typowano na zwycięzcę Koniecznego, autora warszawskiej Nike i potężnego Żołnierza Radzieckiego-Wyzwoliciele, szpecącego centrum Częstochowy. Wszystkim idącym na Jasną Górę pielgrzymkom miał on przypominać, kto tu, w tym kraju, naprawdę panuje i kto cześć winien odbierać. Zaproszono też kilkanaście innych osób dla *decorum*. W tym Zenona. Miał prawo. Był członkiem ZPAP i profesorem WSP, choć akurat na urlopie bezpłatnym. Wziął go po objęciu wiceprezury w telewizji, zachowując etat na uczelni, na wszelki wypadek.

Zenon wiedział, jak się zabrać do rzeczy. Poruszał się równoległe dwiema drogami. Trzeba było pomnik zaprojektować i trzeba było załatwić nagrodzenie go pierwszą nagrodą przez sąd konkursowy.

Zorganizował pracownię plastyczną pod swoim kierunkiem. Na razie tylko z sekretarką i małym biurem w gmachu telewizji, przy dziale scenografii. Porozumiał się z rektorami wszystkich akademii i wyższych szkół plastycznych w kraju, prosząc o wyty-

powanie po paru najzdolniejszych studentów i młodych asystentów, specjalizujących się w rzeźbie — „i wiecie, tak to traktujcie, jak mówię, najzdolniejszych, a nie najlepiej ustawionych, przynależność nie gra roli, rozumiemy się, prawda?”. Dostał takie wykazy. Wybrał z nich dwadzieścia osób. Zorganizował dla nich imprezę o nazwie „Krajowy Plener Rzeźby Młodych”. Wynajął, oczywiście za pieniądze telekomitetu, pałac w Orońsku pod Radomiem. Zaprosił tę grupę dwudziestu młodych, zdolnych i gniewnych artystów. Przyjechali wszyscy. Perspektywa wyżerki i trzytygodniowych wczasów była wspaniała. Zenon zjawił się na inaugurację pleneru. Po kolacji zgromadził całą grupę w sali kominkowej: Służbie kazał podać kawę i koniak. Rozsiadł się w fotelu blisko ognia — na dworze akurat lało i było przejmująco zimno — i tonem gawędy wygłosił ojcowskie przemówienie do młodych rzeźbiarzy.

Mówił o tym jak jego pokolenie, wraz z pokoleniem jego ojca i starszych braci walczyło z Niemcami o niepodległą Polskę, jak on sam w stałym narażeniu życia blokował i wysadzał niemieckie transporty z uzbrojeniem i wojskiem idące przez Śląsk na front wschodni. Wysadzał mosty. Rozkopywał rozjazdy i łamał zwrotnice. Jako młody górnik, zmuszony przez Niemców do pracy w kopalni, sabotował robotę na dole, celowo źle rozmieszczał odstrzały, powodując zniszczenia sprzętu. W tym czasie szczęśliwsi od niego rówieśnicy walczyli w szeregach AK, w lasach i na ulicach Warszawy. Mówił ze swadą o tym, jak po wojnie wszyscy razem przeżywali straszną gorycz, gdy ich walka, trud i rany nie zostały docenione, przez lata zapomniane. Ale od paru lat, kontynuował, kierownictwo partyjne zrozumiało, jak błędna była to polityka. Postanowiło oddać sprawiedliwość bohaterom i dać przykład młodemu pokoleniu. Wykazać, że trud i cierpienia ponoszone dla ojczyzny nie idą nigdy na marne. Zawsze są ocenione i nagrodzone. Stąd decyzja, osobista mądra decyzja towarzysza Edwarda Gierka (mówiąc to Zenon zwracał się do donosiciela, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa musiał się znajdować w słuchającej go grupie), aby wybudować pomnik upamiętniający bohaterstwo ludu Warszawy, a zwłaszcza Armii Krajowej.

Okragłe zdania płynęły z ust Zenona potokiem. Był przekonujący, budził zaufanie. Zasugerował lekko i dwuznacznie (tak, aby w razie czego móc się tego wyprzeć), że to on w ogóle podsunął kierownictwu partyjnemu pomysł wybudowania tego pomnika. Następnie powiedział, że gdy już zapadła decyzja o budowie, uświadomił sobie, że nie może poprzestać na pomysle, na jego popularyzacji wszelkimi dostępnymi mu środkami, a więc

przez telewizję, ale że musi w tej pracy osobiście uczestniczyć twórczo. Dlatego przyjął, zresztą, jak mówił „całkowicie niespodziewane”, acz „ogromnie zaszczytne” zaproszenie do osobistego wzięcia udziału w konkursie. Konkurs jest naturalnie zamknięty.

„Zaproszonych jest wielu znakomitych artystów, z większym dorobkiem ode mnie, godniejszych, bardziej doświadczonych. Pomyślałem jednak, że nie mogę odmówić zaangażowania się w tę wielką sprawę. Muszę natomiast podejść do niej inaczej, sam będąc żołnierzem antyhitlerowskiego podziemia. Gdybym ten pomnik zaprojektował i — po ewentualnym wygraniu konkursu — zbudował go — to bym go jakby budował sam sobie. Mam do tego pełne prawo. Bo przecież walczyłem z Niemcami, narażałem życie, cierpiałem, byłem katowany. Przyczyniłem się do zwycięstwa. A teraz mieszkam i tworzę w Warszawie. Uważam stolicę za swoje miasto. Ale to byłoby jakieś nieskromne. Nie mogę na to pójść. Wybrałem inne rozwiązanie. Postanowiłem umożliwić wam, młodym, dokonanie tego dzieła. Chcę powierzyć wam tę wielką sprawę. Zapraszam was do udziału w konkursie w ramach mojej pracowni projektowej.

Naturalnie nie uchylam się sam od odpowiedzialności. Od najcięższej pracy. Na każdym etapie — koncepcji, projektowania, realizacji. Ale chcę dać wam, młodym, tę wielką szansę włączenia się w tę pracę. Ukazania waszego stosunku do historii, wyrażenia waszych uczuć. Jest więc szansa, że ten pomnik będzie nie tylko przypomnieniem przeszłości, ale także symbolem terażniejszości — pojednania narodowego, pojednania pokoleń, przymierza między starymi a młodymi laty, sojuszu komunistów i wszystkich innych patriotów!”

Zapalił się, był porywający. Tchnęło od niego szlachetne przekonanie.

„Tak — mówił — zbudujemy pomnik pojednania wszystkich Polaków. Komuniści dokonali w kraju wielkiego dzieła. Wielu go jeszcze w tej chwili nie rozumie, ale historia je doceni. (To też było na użytek potencjalnego donosiciela, może jest ich nawet kilku?). Komuniści, jak wszyscy ludzie byli jednak omylni, popełniali błędy. Teraz jednak te błędy są naprawiane. Nasz pomnik — mówił już teraz « nasz », a oni dali się na to nabierać, słuchali zafascynowani — nasz pomnik będzie dowodem tych głębokich przeobrażeń w łonie całego społeczeństwa, dowodem przeobrażeń narodowej świadomości, waszej świadomości, i dowodem zmiany waszej sytuacji. Dziś wy bowiem tworzycie aktywnie przyszłość naszego kraju. Sam fakt waszej obecności tutaj jest najlepszym dowodem waszego aktywnego uczestnictwa w bu-

dowie lepszego dzisiaj i lepszego jutra naszego kraju. Będzie dowodem, jest już dowodem, że macie możliwości, macie perspektywy, aby rozwijać wasze talenty, tworzyć wielkie, historyczne dzieła.

Stworzymy ten pomnik razem. Wspólnie. Z mojego cierpienia i doświadczenia i z waszego dynamizmu i nadziei. Wiem, że mi pomożecie. I ja również wam pomogę. Po to was tutaj zaprosiłem. Wymyślimy ten pomnik, zaprojektujemy go, zbudujemy go!”

Zapalił wszystkich, nie wyłączając jasnowłosego brodacza i grubej dziewczyny, którzy w czasie przemówienia Zenona, siedząc z tyłu, w mroku, cały czas się ściskali.

Zenon przeszedł do konkretów.

„Macie trzy tygodnie na wykreowanie koncepcji i zrobienie wstępnych projektów pomnika. W małej skali. Każdy ma szansę. Możecie pracować indywidualnie lub dobrać się w zespoły — tu spojrzaj na blondyna i grubaskę. — Macie na to trzy tygodnie. Po tym czasie ja przyjadę ponownie i obejrzę wasze prace. Pięć najlepszych, najbardziej obiecujących osób zaproszę do pracowni projektowej pomnika i z tą piątką będę pracował osobiście. Honoraria i autorstwo będziemy dzielili”

Zrozumieli, że w grę wchodzi najpierw trzytygodniowe bezpłatne wczasy, a potem może miliony, rozgłos, zamówienia. Jego wywód ideologiczny spłynął po nich jak woda po kacze. Ale pieniądze i dalsze możliwości, które za tym stały, zelektryzowały wszystkich. Nie musiał nikogo zachęcać. Wszyscy zgłosili gotowość udziału.

Zenon wstał, sam dołął wszystkim koniak, kazał służbie położyć jeszcze parę butelek, pożegnał się i powtórzył, że ich teraz zostawi i wróci dokładnie za trzy tygodnie, aby obejrzyć ich prace. Wyjechał. Młodzi pili, dyskutowali i międlili się przy kominku do białego rana. Nazajutrz, po późnym śniadaniu, wszyscy wzięli się do roboty.

11.

Po powrocie do Warszawy Zenon zabrał się do drugiej części swoich przygotowań. Nakazał redaktorowi telewizyjnego programu „Kultura w zbliżeniu” zorganizować cykl dyskusji na temat sztuki narodowej z różnymi twórcami, w tym — dał mu listę —

ze wszystkimi członkami sądu konkursu na pomnik. Ale sam pomnik nie miał być przedmiotem dyskusji. Za udział w tych audycjach miały być płacone specjalne stawki. Zwano je w telewizji nieoficjalnie „stawkami uderzeniowymi”. Zenon napomknął redaktorowi, że gdy cykl zostanie zakończony i dobrze wyjdzie, on sam może liczyć na specjalną „kopertówkę” — tak zwano w telewizji nieoficjalnie wypłacane premie.

Po kolejnych programach Zenon wpadał do studia, czy też przechodził przypadkiem korytarzem, spotykał jurorów i zapraszał ich na kawę do swego gabinetu. Prowadził rozmowy ogólne, wypytywał o zdrowie, plany twórcze, wyjazdowe. Paru osobom przyspieszył paszporty — telefonując do znajomych oficerów w komendzie milicji. Paru uruchomił wydanie książek — wystarczył jeden telefon do dyrektora odpowiedzialnego wydawnictwa. Komuś załatwił order. Komuś mieszkanie. Prosił o radę w sprawach podniesienia poziomu programów kulturalnych w telewizji. Nigdy nie wspominał o pomniku.

Natknął się też na profesora Fideckiego. Wiedział, jak nisko ten wielki rzeźbiarz ceni jego prace naukowe i twórcze, a także, że jest notorycznym krytykiem ustroju. Był to artysta, a zarazem teoretyk sztuki starej daty. Jeszcze przed wojną był profesorem Akademii Krakowskiej. Zenon bał się go i nie znosił, zarazem zaś podziwiał i zazdrościł mu autorytetu. Siedząc sam w swoim gabinecie, oglądał na monitorze nagranie programu z udziałem Fideckiego. Zastanowiło go, że stary profesor nie boi się chłostać Kulisiewicza za jego „paniczny socrealizm”, jak to powiedział, że lekceważy Dunikowskiego, a za to z uznaniem mówi o Kantorze i o happeningu. Jest doskonale zorientowany w nowych prądach, mówi ze znanostwem o sztuce ziemi i „environmentach”. Odpowiadając na zasadnicze pytanie, które było lejtmo-tiwem całego programu — „czym jest sztuka narodowa” — powiedział bardzo prosto i dobitnie, że jest to sztuka wyrażająca duchowość danego narodu i jego ethos, a więc to, jak żyją z pokolenia na pokolenie tworzący go ludzie i to, jak żyć pragną.

Pod koniec nagrania — oczywiście program nie szedł na żywo, tylko był rejestrowany, a potem starannie cenzurowany i montowany — Zenon zeszedł do korytarza przed siódmym studiem i wstąpił do barku, stanowiącego zarazem poczekalnię dla aktorów, obsługi studia i gości. Wziął kawę, usiadł przy stoliku i przybrał maskę zamyślenia, unikając w ten sposób konieczności ciągłego odpowiadania na ukłony przewijających się przez barek ludzi. Jak nisko, jak przymilnie kłaniają się pracownicy bossowi. Czekał na Fideckiego. Gdy zobaczył go w wyjściu ze studia, wstał szybko i poszedł mu naprzeciw.

„Oglądałem pana wypowiedzi, profesorze, i nie mogłem się powstrzymać, aby panu nie pogratulować. To będzie bez wątpienia najlepszy program z tego cyklu. Najmądrzejszy. Gratuluję serdecznie”.

„A, to pan...” Fideckiemu nie przechodziło przez gardło słowo « profesor », gdy zwracał się do Zenona. Był zawsze przeciwny jego nominacji. „A gdzie mnie pan widział, przecież to nie szło na antenie”, powiedział prostodusznie.

„Och, mamy tu dobre urządzenia, panie profesorze, to nie żaden problem, u siebie w gabinecie mam wejście do każdego studia. W ogóle dużośmy nowej aparatury sprowadzili do tego ośrodka. Kraj się unowocześnia. Musimy dotrzymywać kroku, a nawet poniekąd dawać przykład. Ale nie chciałem o tym... Czy pan profesor miałby chwilę czasu, aby pogadać? Chciałem się pana profesora o coś poradzić...”.

„Mam samolot do Krakowa o czwartej”, powiedział Fidecki, patrząc na zegarek. „Jest druga. Więc muszę już jechać. Nie wiem nawet, gdzie tu jest przystanek taksówek”.

„Ja pana każę odwieźć na lotnisko. W ten sposób zyskamy na czasie”, powiedział Zenon. „Zapraszam do siebie na kawę”.

Poszli korytarzami. Wjechali windą. Zenon poprosił sekretarkę o dwie kawy. „Może coś jeszcze?”, spytał Fideckiego.

„Dwie wódki, czyste, to znaczy dwie dla mnie, nie wiem jak dla pana kolegi, i poproszę o jakąś kanapkę. Nie jadłem obiadu”.

„Ach, to obiad podamy. Natychmiast. Pani Urszulko, dwa obiady firmowe, i to przedziutko”.

Już po chwili siedzieli w gabinecie Zenona przy obficie zastawionym stole. Fidecki chlusnął jedną wódkę przed jedzeniem, drugą po zakąskach, przed zupą. „Tylko ludzie głupie nie piją przy zupie”, powiedział. Odmówił dalszych alkoholi. „Mam swoją normę. Trzymam się zasad”.

Pogadywali o tym i owym, Zenonowi było jakoś głupio kierować rozmowę na poważniejsze tematy przy jedzeniu, a w gruncie rzeczy i tak nie miał o czym z tym starym przykiem rozmawiać. Jediną funkcją tej rozmowy miało być nastawienie go do siebie przychylnie, przed dyskusją o projekcie pomnika na posiedzeniu sądu konkursowego. Można było przypuszczać, że jurorzy będą się wdziali, albo podejrzewali, kto jest autorem danego projektu. Zenon, sądząc po sobie, nie wierzył w bezstronność, bezinteresowność, bezukładowość tego typu decyzji — przyznawania nagród w konkursach, wysuwania kondydatów do odznaczeń, nominowania na stopnie profesorskie, powoływania do dobrej płatnych gremiów, udzielania stypendiów twórczych, wysyłania za granicę i tak dalej. Chciał więc zjednać, przekupić, skap-

tować, kogo się tylko dało. Ot, chociażby ten obiad, a potem odesłanie mercedesem na lotnisko. Może to nastawić klienta, jak mawiał, przychylnie. Z góry zresztą wątpił czy na Fideckiego cokolwiek podziąła. Nie chciał jednak zaniedbać niczego w torowaniu drogi do budowy swojego pomnika.

„Powiedział pan, że może pan stąd oglądać pracę w każdym studio?”, zapytał przy kawie Fidecki.

„To bardzo proste”, Zenon wstał i włączył monitor. Wziął pudełeczko zdalnego kierowania kanałami i zaczął przerzucać obrazy. „To jest studio pierwsze. Akurat tam teatr nagrywają. To Jan Englert w roli Hamleta. Zdolny, młody aktor. Popieramy młodych zdolnych. To dwójka. Chyba to będzie wielka gra. A tu, proszę popatrzeć...”. Przerzucił na telewizję satelitarną i akurat zląpał dziennik ABC z Nowego Jorku. „To też mamy, przez satelitę...”

„Co to jest? — Zainteresował się Fidecki — Po angielsku?”
Zaczął słucać uważnie.

„To amerykańskie wiadomości poranne”.

„Poranne?”

„Tam jest przecież akurat rano”.

„Niech pan patrzy — wykrzyknął Fidecki — w pięćset lat po Koperniku człowiek zapomina, że ziemia jest okrągła. Fantastyczne!”

„No tak, tam jest rano, to jest ABC z Nowego Jorku, a te wiadomości nadają z Waszyngtonu”.

„I pan to łapie? Przecież tego nie ma w polskich programach”.

„Ja to muszę mieć — powiedział z uśmiechem Zenon. — Muszę być w kursie dzieła, jak to się mówi”.

„Ale zwykli ludzie tego nie mają”, upierał się Fidecki.

„Na razie nie mają. My musimy mieć. Ale wkrótce to się stanie powszechne”.

„Wierzy pan w to?”, zapytał profesor.

„W co?”

„Ze kiedykolwiek sami wypuścicie z ręki przywileje?”

„O, panie profesorze, od razu mnie pan zagina i zaczyna pan o polityce. Ja chciałem z panem o sztuce porozmawiać”. Zenon próbował zmienić niewygodny temat.

„To też może być rozmowa o sztuce. Współczesna sztuka jest nie do pomyślenia bez współczesnej techniki, która ją popularyzuje. I sama tworzy. A to, co pan mi tu prezentuje, to właśnie są same szczyty nowoczesnej techniki, środków przekazu, prawda? Te wszystkie kamery, kable, satelity. I od razu wyłania się kwestia, komu one służą?”

„Społeczeństwu”, chlapanął slogan Zenon.

„Ech, panie kolego, co pan plecie”, rzucił się od razu Fidecki.
„Wam to służy, wam. A społeczeństwu się nawet nie śni, że wy to macie”.

„Zmieńmy temat — powiedział grzecznie Zenon. — Nie wątpiwe różnimy się z panem profesorem politycznie, ale na pewno znajdziemy wspólny język rozmawiając o sztuce. Właśnie chciałem pana zapytać o te nasze obecne programy o sztuce. Jak pan profesor je ocenia?”

„Dobre są. Wiele pada w nich ważnych myśli. Ale czemu ich nie nadawać na żywo?” Znow przeszedł do ataku. Zenon drażnił go i stary rzeźbiarz nie potrafił wyzbyć się agresywnego tonu. „Czemu wszystko, nawet wypowiedzi starych profesorów, chcecie cenzurować?”

„Ja tam bym najchętniej z cenzury zrezygnował — powiedział solennym tonem Zenon. — Ale oni się upierają”. Zastosował od razu popularny trick, odróżniając siebie od „onych”, jakby sam nie należał do tych, którzy o tych sprawach decydują.

Profesor Fidecki nie dał się na to nabrać.

„Jacy oni, panie, jacy oni. Pan tu rządzi, pan tu prezesuje, od pana to zależy!”

„Nie, panie profesorze — bronił się Zenon. — Moje stanowisko i moja rola są bardzo skromne. Ja muszę wykonywać polecenia, nawet te, z którymi się nie zgadzam. Ale staram się na moim małym odcinku jakoś naprawiać nieswoje błędy, torować drogę nowym rozwiązaniom”.

„Ech — powiedział Fidecki — mnie niech pan oczu nie mydli. Za stary jestem na to. Albo powiedzmy inaczej: niech pan mnie przekona, że istotnie panu zależy na zmianach w telewizji, na tym małym, jak pan mówi, odcinku, i niech pan wprowadzi chociaż jedną audycję na żywo, o właśnie, na przykład te dyskusje o sztuce. Bez cenzury. Jak mnie pan zaprosi do takiej niccenzurowanej dyskusji, to mogę panu nawet obiecać, że nie wygłoszę przy tej okazji antyrządowego przemówienia i nie nakopię Kulisiewiczowi za jego paniczny socrealizm”.

„To doskonałe: paniczny socrealizm. To się panu profesorowi udało...” Zenon śmiał się sztucznie.

Fidecki przyparł go do muru: „Niech się pan nie wykręca. Niech mi pan powie — wprowadzi pan taki program? No, co? Może go pan wprowadzić?”

„Za słaby na to jestem... — powiedział tonem ubolewania Zenon. — To nie ode mnie zależy”.

„A od kogo?”

„Od kierownictwa”.

„Od partii?”

„No, od partii...”

„A przecież pan do tej partii należy i należy pan do tego kierownictwa!”

„Moje stanowisko jest podrzędne... Może kiedyś... Teraz nic nie mogę...”

„Nie może pan, bo pan nie chce. Bo chce pan, aby było jak jest”. Fidecki wyraźnie się zgniewał. „Ja panu powiem, jak to jest naprawdę. Naprawdę, to ani pan, ani nikt z tego mitycznego kierownictwa, ani wasza partia jako całość, nie wycofa się z cenzurowania choćby jednego programu telewizyjnego, choćby jednej gazetki, choćby jednej książki, nawet podręcznika z fizyki teoretycznej. A dlaczego? Powiem panu. Dlatego, że chcecie kontrolować wszystko i wszystkich. Ot co. A jak to się nazywa? To się nazywa po prostu totalitaryzm. Jego istotą jest kontrola totalna, władza sprawowana totalnie. Właśnie, z definicji, totalnie. Jedna mała szczelina w totalnej, całkowitej, wszechogarniającej kontroli kwestionuje filozoficznie i praktycznie cały system. Ot co. I dlatego pan nie dopuści do żadnej niecenzurowanej audycji w telewizji. Ani jednej. Nawet o hodowli groszku pachnącego. A nie tylko o sztuce narodowej”.

„Staramy się ograniczać ingerencje... Staramy się... Nie wie pan profesor nawet, jak to trudno... Oni nic nie rozumieją... Sam mam długie spory z cenzorami...” Zenon przybrał maskę stroskanego obywatela.

Stary profesor znów fuknął: „Gadanie. Cenzura to wasz okop. A żywa telewizja to wasz upiór. Nie mówiąc o satelitarnej. Dlatego tak mało nadajecie na żywo”.

„O, przepraszam — poderwał się Zenon — a programy sportowe?”

„Wisła gra ostatnio tak słabo, że moglibyście z tego zrezygnować!”

Zamilkł. Wypił łyk kawy.

„No i po co mnie pan wciąga w dyskusje, panie kolego, nie usłyszysz pan ode mnie nic przyjemnego. Ani nic, co mogłoby się panu praktycznie przydać. Ale niech pan próbuje... — Dodał pojednawczo. — I niech pan się jednak zastanowi nad takim jednym programem o sztuce, nadawanym na żywo, bez cenzury. Ja bym w nim chętnie wziął udział. Nie wiem tylko, czy takiego zaproszenia dożyję...”

„Jestem panu bardzo wdzięczny za te uwagi, panie profesorze — Zenon udrapował się teraz na męża stanu. — Rozważę je najpoważniej. Pana autorytet jest nam potrzebny, choć możemy się nie zgadzać w niektórych poglądach. Nawet wielu...” Te

ostatnie zdania dodał na użytek mikrofonów. Nie mógł być nie podsłuchiwany. I taka rozmowa mogła być bardzo źle przyjęta. Pewnych idei w ogóle nie powinno się wyrażać. Pewne słowa nie powinny być w ogóle wypowiedziane głośno. Ten Fidecki stanowczo za dużo sobie pozwala. Ale co mu zrobić? Emeryturę odebrać? I tak gadać nie przestanie. Już ja cię zaproszę do programu bez cenzury. O, takiego!

„Zagadaliśmy się — powiedział profesor — a tu mój samolot nie będzie czekać...”

„Każę pana odwiedzić. Jeszcze raz dziękuję. I proszę pamiętać, że robię wszystko co w mojej mocy dla dobra narodowej sztuki. A pana pomoc jest mi potrzebna, panie profesorze, bardzo potrzebna. Mogę na pana liczyć, prawda?”

„Dziękuję za obiad i ciekawą rozmowę — powiedział Fidecki. — Tak, może pan na mnie liczyć — we wszystkim co uczciwe. Życzę panu hartu w tej pracy. Cieszyłbym się, gdyby się panu udało coś w tej telewizji zrobić. Bo na razie, panie, to jest szambo... Znów coś zdaje się chlapnąłem. Już idę, już idę...”

12.

Młodzi w Orońsku pili i korzystali z luksusu zapewnionego im w starym pałacu, zamienionym na dom pracy twórczej, ale obsługiwanym jeszcze przez służbę pamiętającą dawnych właścicieli, hrabiów Orońskich.

Dwóch starych kamerdynerów podawało do stołu, przynosiło popołudniową — angielską modą — herbatę, a wieczorem, bez uniesienia brwi, zastawiało kawę i koniak w sali kominkowej.

Parę naprędcę połączonych par przez kilka dni nie opuszczało łóżek albo parzyło się w okolicznych krzakach. Ale i oni i wszyscy inni stopniowo wciągali się do pracy. Rysowali i robili makiety. Każdy widział ogromną szansę w dostaniu się do pracowni Zenona. Choć wszyscy byli sfrustrowani i wściekli, że nie mogą do konkursu stanąć samodzielnie, to jednak przyjęli układ i narzucone zasady gry. Pracowali z ogromnym wysiłkiem. Postanowili pokazać temu staremu repowi, na co ich stać. W starej wielkiej wozowni, gdzie niegdyś stały karety, koczki, linijki, dwukółki i bryczki, urządzona była pracownia plastyczna. Były narzędzia, stoły, materiały. Raj dla pomysłowego rzeźbiarza. Przesiad-

wali tam dniami i nocami. Lepili i ugniatali glinę. Piłowali i wyginali żelazo. Ciosali i żłobili drewno. Gotowe makiety-rzeźby ustawiali wokół pałacu.

Zenon przyjechał, zgodnie z zapowiedzią, po trzech tygodniach. Makiety były wystawione w parku, rysunki wyłożono w wielkim holu pałacu. Zenon krążył powoli wokół projektów. Wiele było dobrych. Bardzo dobrych. Zaczęło padać. Kazał sobie przynieść parasol i chodził dalej po parku oglądając rzeźby. Robił notatki. Przemoczył buty w mokrej trawie. Cała gromadka człapała za nim w napięciu i skupieniu.

Wszystkie projekty chwalił, choć rzucał też krytyczne uwagi odnośnie szczegółów. Zwracał uwagę na błędy napięcia lub konstrukcji. Pytał o przewidywane materiały i skalę makiet. Było to jak normalna korekta profesorska w akademii. Umiał to robić.

Z uwagą identyfikował autorów poszczególnych prac. Badał wzrokiem twarze młodych mężczyzn. Starał się wyczytać, ile jest w nich determinacji i zawziętości, a ile arogancji i cynizmu. Zdejmował w wyobraźni bluzki i sweterki dziewczynom, oceniając ich piersi i patrzył na ich duże rzeźbiarskie dłonie, zastanawiając się, ile jest w nich czułości i ile umiejętności.

Projekty były bardzo różne. Były prace figuralne przedstawiające pojedyncze postacie i grupy ludzkie, były kopce, barykady, iglice, krzyże. Jedna z rzeźb nawiązywała do piety Michała Anioła, tylko, że na kolanach matki leżał powstaniec, a nie Chrystus. Jakiś projekt przewidywał ogromną mogiłę powstańczą, otoczoną kołem postaci, wśród których byli żołnierze, kobiety, dzieci i ksiądz. Postaci miały być trzydziestometrowej wysokości, a całość miała stanąć na placu Krasieńskich, na rogu Miodowej i Długiej, jako wielki kompleks wyrastający wysoko nad okoliczną zabudowę. Jedna z prac była ogromnym pylonem, zakończonym krzyżem, wynurzającym się z fal Wisły, miała być usytuowana pomiędzy mostem Poniatowskiego i Średnicowym. Inna była tylko wielkim zniczem, słupem ognia, gazu dostarczanego pod ciśnieniem, który miał się wiecznie palić na środku Placu Defilad, a wokół niego na żelaznych płytach miałyby być wykute nazwiska ofiar Powstania, wszystkie, jakie dałoby się ustalić. Sto kilkadziesiąt, może dwieście kilkadziesiąt tysięcy. Zenon przeszedł obojętnie obok projektu wielkiej reliefowej kompozycji grupowej, wzorowanej na licznych pomnikach typu cmentarnego wystawianych w całej Europie po pierwszej i po drugiej wojnie światowej; w Warszawie taką koncepcję i realizację miał pomnik bohaterów getta. Idea Kopca Powstania, który miałby być usypany na dalekim górnym Mokotowie w okolicy skoczni narciarskiej, była dobra, ale zbyt krakowska. Warszawa musi wymyślić

coś własnego. Zenona szczególnie zainteresowała praca przedstawiająca strzelistą literę V. Autorka, piękna, choć nieco garbata blondynka, proponowała ustawić ten symbol zwycięstwa na środku ronda Marszałkowskiej i Alej Jerolimskich. Taki pomnik mógłby porwać zbiorową wyobraźnię.

Zenon chodził długo wśród rzeźb. Chwila była bardzo ważna. Wiele od tej decyzji zależało. Jeszcze raz zidentyfikował autorów poszczególnych prac.

„Wybaczone mi, jako plastyk mam pamięć wzrokową, a nie do nazwisk. Potrafię zapamiętać twarz i rozpoznać ją nawet po latach, ale gubię imiona i nazwiska”.

Poprosił, aby mu sporządzili listę prac, z ich tytułami i małymi rysunczkami projektów, a do tego listę autorów z ich karykaturami. Gdy rysowali swe pokracczne podobizny, była kupa śmiechu. Napięcie się rozładowało. Zenon umiał manipulować ludźmi, oj, umiał. Poprosił też jednego z asystentów, aby zrobił polaroidem, który wyciągnął z teczki, zdjęcia wszystkich prac ze stojącymi przy nich autorami. Ludzie stawali przy swoich pomnikach i robili uciężne miny. Czekał pijąc kawę przy buzującym kominku. Zebrał fotografie, schował aparat, wziął listę projektów i nazwisk. Podziękował wszystkim serdecznie. Powiedział, że musi to bardzo poważnie rozważyć i wróci nazajutrz, aby ogłosić listę swoich „zaproszeń”, jak się wyraził. Wyszedł z sali. Młodzi zostali i nie mieli nic innego do roboty jak zacząć pić na ostro.

Zenon wsiadł do swojego mercedesa. Kazał kierowcy jechać z powrotem do Warszawy. Zaraz po ruszeniu sięgnął po telefon i zadzwonił do sekretariatu Gierka. Pierwszego nie było. Była sobota w południe.

„Dokąd pojechał?” — Zenon miał prawo zadać szefowi gabinetu Gierka to pytanie.

„Do Białowieży — usłyszał. — Towarzysz pierwszy sekretarz ma się zatrzymać w nadleśnictwie, zjeść obiad i polować w niedzielę rano. Mieli być sekretarze z Lublina, Białegostoku i Krosna”.

„A czy jest tam towarzysz Łukaszenko?”, zapytał Zenon.

„Nie — usłyszał — nic o tym nie wiem”.

„A to dziękuję wam — powiedział Zenon. — Podajcie mi numer do towarzysza Gierka do Białowieży”. I o to miał prawo zapytać. Jako wiceprezes telewizji i członek zespołu doradców miał sam bezpośrednią linię do Gierka i był na ścisłej liście osób uprawnionych do osobistego kontaktowania się z szefem. Oczywiście wiedział, wiedzieli obaj, że wszystkie rozmowy są zarówno

na bieżąco słuchane jak i nagrywane. Dostał numer. Wykręcił. Zgłosił się szef obstawy. Znał Zenona.

„Tak, towarzyszu pierwszy sekretarz już jest. Siada właśnie do stołu. To pilne?”

„Nie — powiedział Zenon — nie niepokójcie teraz towarzysza pierwszego sekretarza, tylko go uprzedźcie przy okazji, że wpadnę sam na chwilę z jednym zapytaniem”.

Kazał kierowcy jechać na Mińsk i do Białowieży. I dodać gazu. Rozwalił się na tylnym siedzeniu. Polecili 180 na godzinę. Co pewien czas kierowca niedbale pokazywał rządową przepustkę machającym lizakami milicjantom drogowym. Co chwila ostro trąbił, spędzając z szosy nie dość szybko usuwające się na bok samochody i furmanki. Przelatywali przez wsie i miasteczka. Przesuwały się za szybko pola i lasy. Dobrze było tak jechać szybko, po pańsku, na bok śledzie, bo król jedzie. W Zenonie zbierała siła i jakaś radość. Ma w zanadrzu, a raczej w teczce, świetny plan. Plan, który go zaprowadzi bardzo wysoko. Jedzie do władcy tego kraju, z którym ubije sprawę, uzyska jego pełnomocnictwa. Pędzi szybko, najszybciej ze wszystkich samochodów na tej szosie. I ma prawo tak jechać. Wolno mu. Jest najmocniejszy.

Przeglądał uważnie projekty. Postanowił wybrać to strzeliste V. Tak. Ale powiększy je znacznie, podwyższy i postawi na środku Placu Defilad. Przyda się też projekt mogiły. Weźmie z niego tę grupę ludzi, tylko zmieni funkcje. Zamiast stać w rozpaczy wokół grobu, będą podpierali, podtrzymywali ramiona wielkiego V. Będzie w tym idea zwycięstwa, a zarazem wielkiego zbiorowego wysiłku ludu stolicy, całego narodu. Jedno ramię V, Victorii, będą wspierali powstańcy AK, drugie AL. Znajdzie się wśród nich miejsce i dla cywili, po obu stronach. Mogą być i dzieci. Może być nawet i ksiądz, po stronie AK. Czemu nie. Acha, i do górnych krawędzi ramion wielkiej litery V można doprowadzić gaz i niech się stale palą jak dwa ogromne znicze. A może znicz winien być jeden? U zbiegu ramion? W miejsce tej mogiły? Trzeba to jeszcze rozważyć. W każdym razie taki projekt będzie dobry. Mocny. Musi wygrać konkurs.

Zenon kazał się nagle zatrzymać kierowcy. I tak jak siedział, w samochodzie, na twardym wierzchu swojej bondówki, narysował na karcie bristolu paroma silnymi pociągnięciami ołówka swój projekt pomnika. Była to kompilacja prac trojga młodych ludzi — garbatej blondynki z ogromnymi, nienaturalnej wielkości dłońmi rzeźbiarki, asystentki w akademii gdańskiej; projektantem mogiły otoczonej tłumem był student z Poznania; znicz na Placu Defilad wymyślił asystent ASP z Warszawy. Dobry

zestaw. Tylko krakowianie się wściekną. Do spisanej naprędce listy dodał więc jeszcze dwie osoby — dziewczynę z Krakowa, wysoką, długonogą, chyba niezbyt zdolną, za to bardzo piękną, i jeszcze jednego asystenta — z Wrocławia. Niech mają. Niech się wszyscy ucieszą. Przepisał tę listę do notesu. Schował go do kieszeni. Spojrzał na swój szkic. Był dobry. Robił wrażenie. A może by go tak zbudować z węgla? Nie, rozsypałby się po roku. Musi być ze stali. Musi trwać na wieki. Huta Katowice będzie się kłócić z Hutą Warszawa o to zamówienie. Niech towarzysz Gierek rozstrzyga.

Podobał mu się ten projekt. Sam się sobie podobał. Był z siebie zadowolony. Akurat przestało padać. Wysiadł z wozu. Poszedł leśną przecinką. Odlął się. Las pachniał mocno po deszczu. Poszedł dalej. Nagle zaczął biec i krzyżeć na całe gardło. Wydawał nieartykułowane ryki. Podskakiwał. Ślizgał się po mokrej trawie. Wołał: „Dołożę im! Zobaczą mnie! Nie ma na mnie mocnych! Łukaszenkę wycyckam *in kurzen Abzügen!* Stworzę największe dzieło w historii polskiej rzeźby!”. Już widział na swojej piersi order Budowniczego Polski Ludowej. Już odbierał nagrodę państwową, oczywiście pierwszego stopnia, w Belwederze, z rąk tego pacana, figuranta, no jak mu tam? Już zasiadał w sekretariacie KC. W biurze politycznym. Teraz będzie pora na członkostwo Akademii Nauk. Czemu nie? Zasapał się. Spocił. Staął. Las był cichy. Zamilkły już echa jego ryków. Chwilę nasłuchiwał. Śpiewały ptaki. Kapało z drzew. Nisko unosiły się lekkie mgły. Przez krople na szpilkach sosen i pajęczyny zaczęło prześwitywać niskie, popołudniowe słońce. Poszedł z powrotem do wozu. Wychodząc z lasu zobaczył, że na polance u początku przecinki jest mały grób, a na nim zmurszały krzyż. Może mogiła powstańcza?

13.

Po południu zajechał przed pałacyk myśliwski w Białowieży. Wylegitymował się wartownikom, potem obstawie. Gierek spał przepity po obiedzie. Miał wstać dopiero przed kolacją. Nadleśniczy pełnił honory domu. Zaproponował Zenonowi obiad i pokój. Przyjął jedno i drugie. Zjadł, ale nic nie pił, z uwagi na czekającą go rozmowę, w czasie której chciał być w pełni sprawny. wziął prysznic. Położył się spać.

Śnił mu się, jak wiele już razy, ojciec. Ciemna twarz, dlaczego taka ciemna, odkopana ze śniegu, a może wyrąbana z lodu? Czemu taka ciemna? Od odmrożenia? Od węglowego pyłu? Widział nieraz, odwiedzając kopalnie w oficjalnych delegacjach, górników z twarzami czarnymi od węglowego pyłu i tylko pałającymi w nich białkami oczu. Tak widział we śnie twarz ojca. Ale przecież ojciec nie pracował nigdy na dole. Zenon widział siebie odgrzebującego tę czarną twarz ojca ze śniegu, potem wylaniał się mundur, czarny, czemu czarny, przecież ojciec był w Wehrmachcie, a nie w SS? W następnym mgnieniu ojciec, czy też trup ojca zaczynał na niego iść, brnął przez śnieg, zapadał się w sybkim śniegu, a może łamał się pod nim lód, on, Zenon, wyciągał ku niemu rękę, chciał go podtrzymać, złapać, ale nie mógł dosięgnąć do ręki ojca, nie mógł się poruszyć, nogi wrośnięte w ziemię, wkopane w śnieg. I ojciec wyciągał ku niemu dłoń, darł się przez zaspę, zapadał się, pograżał, Zenon nie mógł go uchwycić, był przerażony, był winny, nie mógł ojca uratować, dławił go strach i wstyd, budził się obłąany zimnym potem.

Poszedł do łazienki. Napił się wody z kranu. Była smaczna, nie to co warszawska gnojówka. Wziął ponownie prysznic. Mydląc się myślał o garbatej blondynce i o długonogiej krakowiance. A może nawet we trójkę? Wyobraził to sobie. No, zaczekajmy. Nie płoszmy. Zobaczymy, jak się sytuacja rozwinie. Na razie trzeba ten projekt uzgodnić z Edziem. Od tego wszystko zależy.

Spotkali się przy kolacji. Gierek był uprzedzony o przyjeździe Zenona, który, choć nie był zaproszony na polowanie, miał widocznie jakąś ważną sprawę. Pierwszy sekretarz lubił, jak przyjeżdżali do niego uzgadniać osobiście decyzje ministrowie, sekretarze wojewódzcy, dyrektorzy zjednoczeń, ambasadorowie peerelewscy, jak dzwoniłi do niego, umawiali się na rozmowy w gmachu, a także jak wpadali do niego do lasu, na plażę, na ryby, jak grzecznie czekali, aż ich zapyta, z czym przyszli, aż im pozwoli coś powiedzieć. Czuł, że każdy się z nim liczy. Musi się go pytać. Stosować do brodu sznie rzucane uwagi. Wykonywać niedbale wydawane polecenia. Pławił się w swej władzy. Lubiał ją. Celebrował. Grając kolegę, kumpla, towarzysza, równego, dobierał jednak starannie uśmiechy, stopień zainteresowania, łaskawość słuchania, ton głosu i pozę. Wiadomo było, że od czasu do czasu, po dobrej kolacji, zamyka się w swoim gabinecie z mistrzem warszawskich scen Rudolfem Zastawnym i pobiera od niego lekcje aktorstwa, uczy się, jak chodzić godnie, jak przemawiać autorytatywnie, jak uśmiechać się od serca, jak majestatycznie siedzieć w prezydium, jak pozować na trybunie.

Zenona Gierka znał dobrze, lubił, cenil jego bezwzględność i

podziwiał spryt. Zenon był mu użyteczny jako ucho na środowiska naukowe i artystyczne. Wywiązywał się z tej funkcji świetnie. Gierek wiedział, że Zenon nadal korzysta z usług swojej śląskiej sieci donosicieli, teraz powiększonej; niektórych ze swoich ludzi przeniósł do Warszawy, poumieszczał w telewizji i na różnych uczelniach; miał zaufanych w każdej bodaj wyższej uczelni w kraju. Zenon był też bezpośrednim okiem Gierka na szefa telewizji Kubalskiego. Mimo ich wzajemnej przyjaźni i łączących ich interesów, Gierek musiał naturalnie Kubalskiego kontrolować. Zenon, będąc w kierownictwie telewizji, spełniał dla niego te usługi. Dzięki niemu Gierek wiedział, ile dziewczyn przewija się przez pierdolnik przy gabinecie Kubalskiego, kto baluje na jego jachcie, jakich się tam używa narkotyków, ile wynoszą „koptówki” wręczone przez Kubalskiego za szczególne zasługi pracownikom telewizji, jakie daje prezenty gościom krajowym i zagranicznym. Oczywiście, Zenon nie miał złudzeń, że Kubalski, i na pewno nie tylko on, donosi z kolei na niego.

Gierek zawsze obstawiał swoich dworzan innymi dworzankami, tworząc siatki podwójnych zabezpieczeń i zbierając donosy z dwóch co najmniej niezależnych od siebie źródeł jednocześnie. Zenon wiedział o tym. I robił to samo. A Gierek wiedział o tym, że Zenon o tym wie, i że robi to samo. To powiększało jego do niego szacunek. Przewidywał dla Zenona dalsze awanse. Ale — była to jedna z jego zasad stosowanych wobec całego dworu — nigdy nie zapowiadał łask. Kazał raczej się ich spodziewać w niepewności. Niełaską również uderzał znieścaka, w najbardziej niespodziewanym momencie. Pozbawiał więc przeciwnika możliwości przygotowania obrony czy oporu. Gierek trzymał stale dworzan w szachu. Na każdego miał jakiegoś haka. Wiedział, że i oni zbierają nieustannie materiały na niego, gromadzą akta, dowody. Robił to oczywiście osobno szef służby bezpieczeństwa, i osobno szef armii i wielu innych podrzędniejszych rywali, którzy nie zagrażali pierwszemu sekretarzowi bezpośrednio, ale mogli w razie czego stać się sprzymierzeńcami jego głównych rywali. To było nieuchronne. Sam to robił poprzednio wobec Gomułki. Nie miał złudzeń, że jego sytuacja jest inna. Sądził jednak, że silniej niż jego poprzednicy zabezpieczony jest od góry, to znaczy od strony Moskwy, uważającej go za bezwzględnie lojalnego, i od dołu, to znaczy od strony mas robotniczych, zwłaszcza śląskich, był bowiem przecież sam naprawdę górnikiem, ludzie o tym wiedzieli, on sam uważał, że ich świetnie rozumie i ma z nimi dobry kontakt. Przecież gdy w 1970 roku poszedł, bez obstawy, do bramy stoczni, robotnicy wpuścili go jak swego. Odpowiedzieli gromkimi oklaskami i głośnymi okrzykami „po-

możemy!” na jego apel, na jego słynne, historyczne pytanie — „pomoczenie?”. Tak, wierzył, że robotnicy są stale po jego stronie. Ostatnie strajki i zamieszki w Ursusie i Radomiu, a potem powstanie KOR-u, zamiast nasunąć mu jakieś wątpliwości, utwierdziły go w tym przekonaniu. Bo to przecie nie jego Śląsk się podniósł, ani nie potężne Wybrzeże, tylko zawsze niepoważna Warszawa i prowincjonalny Radom. A popiera te hece tylko paru jajogłowych intelektualistów. Nie ma sprawy. Reszta narodu mu ufa. Szanuje go. Czci.

Gierek przy stole miło zagadał do Zenona, chwalać jeden z programów telewizyjnych na temat narodowej tradycji w malarstwie.

„Musimy uczyć naszą młodzież szacunku do przeszłości. Nasza socjalistyczna rewolucja przeszła już, wicie, taką ewolucję, że nie musimy się wstydić ani Matejki, ani tych królów, których on malował”.

„Nawet pierwszy sekretarz partii nie musi się wstydić porównania z Kazimierzem Wielkim”, odezwał się Zenon. Wiedział, że Gierek bardzo lubi tego typu komplementy.

Gierek istotnie złasował pochlebstwo. Dobry jest ten profesor, trzeba by go może dać do sekretariatu, już mnie ten Łukaszenko wkurwia, nie umie żyć z ludźmi, nawet na polowanie nigdy, kurwa, ze mną nie pojedzie, tylko mu kurwy, kurwa, w głowie.

„Macie pewnie do mnie jakąś sprawę, towarzyszu profesorze — powiedział łaskawie — przy kawie pogadamy”.

Zenon, wychowany w partyjnej dyscyplinie, której żelazną zasadą było to, że wyższy rangą ma zawsze rację, bał się tej rozmowy. Musiał swoją sprawę załatwić. Musiał ją przeprowadzić. A zbyt twardy kotlet, czy nie ta marka koniaku, którą Gierek lubił, a nadleśniczy akurat by jej nie podał, mogłyby zepsuć humor pierwszego sekretarza, w rezultacie zaś spowodować jakąś krytyczną uwagę i zrujnować — dosłownie — cały projekt pomnika.

Zenon kalkulował swoje szanse. Wiedział, że Gierek nie ma zielonego pojęcia o rzeźbie, o sztuce. Bo i skąd. Nie skończył nawet szkoły powszechnej. Do muzeów na wycieczki szkolne nie jeździł. Co gorzej, pracując w czasie wojny jako górnik we Francji nie rozumiał ani ogromu cierpień Polaków w czasie wojny, i to zarówno pod okupacją niemiecką jak pod zaborem sowieckim, ani tragedii i rozpaczny milionów, które po pięciu latach zmagani z najeźdźcami nie uzyskały wolności i musiały żyć nadal pod obcym panowaniem. W konsekwencji nie orientował się w rzeczywistym podłożu i charakterze tych wszystkich protestów,

jakie wstrząsały konwulsyjnie krajem pod rządami osadzonych przez Moskwę komunistów, nie rozumiał wolnościowych aspiracji narodu. Na dodatek był pragmatykiem z instynktu i programu. W jego wyliczeniach sentymenty nie grały żadnej innej roli poza użytkową. Nie brał też pod uwagę uczuć patriotycznych, umiłowania wolności, przywiązania do narodowych symbolów i tak dalej. W tym wszystkim Zenon był mu podobny. Ale ocierając się latami o środowiska naukowe i artystyczne, wiedział przynajmniej o istnieniu tych sfer życia. Wiedział, czym było dla wszystkich Polaków zbudowanie pomnika grunwaldzkiego w Krakowie, dlaczego studenci, protestujący w 1968 roku przeciwko zdjęciu *Dziadów*, poszli w pochodzie do pomnika Mickiewicza, czemu Niemcy niszczyli polskie pomniki w Warszawie, a zostawili nietkniętego Kopernika. Rozumiał, po co wybudowano w sercu Warszawy pałac kultury i nauki, a Katowice nazwano w 1953 roku Stalinogrodem.

Pomysł wystawienia właśnie teraz „pomnika Powstania Warszawskiego”, tak trzeba by go ostatecznie po prostu nazwać, przewalczając opory dogmatyków i rezygnując z enigmatycznej formuły „pomnika zwycięskiego ludu stolicy”, wyłączającej AK, był dobry, mądry, trzeba go było ukraść Łukaszence, przypisać Gierkowi, co już zresztą oficjalnie zrobiono, i wykorzystać samemu. Lolek Łukaszenko też zresztą sam tego nie wygłótkował. Ktoś mu to podsunął. Kto? Nie wiem, myślał Zenon, ale to nieważne. Szczwany lis Lolek wywąchał w tym swój interes, sprzedał pomysł Edziowi. Jeżeli Edzio na tym zyska, to i Lolek się umocni. Bo Edek będzie mu wdzięczny. Ale teraz w ten układ ma wejść on, Zenek. Ryzykowna gra. Ale warta świeczki. Bo jeśli mu się uda, to wyłuska sprawę Łukaszenca i sam wykona robotę dla towarzysza Edwarda. I Gierka mu zapłaci.

A zarazem — to będzie jego własne, Zenona, pojednanie z narodem. Wkupienie się w ludzką dobrą pamięć. Wpisanie się w uczciwą tradycję. I tego dokona on — towarzysz profesor, towarzysz wiceprezes, on — członek kierownictwa znienawidzonej przez naród partii. Było o co grać. Trzymał w ręku karty. Właśnie on jeden ze wszystkich zaproszonych do konkursu profesorów, mistrzów, artystów, laureatów miał bezpośrednie dojście do Gierka, miał szanse z nim samym sprawę sobie załatwić. Raz uzyskawszy aprobatę Gierka dla swojego projektu, mógł potem już tylko gwizdać w czasie obrad sądu konkursowego, albo po prostu pojechać na ryby.

Ale pomnik musiał być rzeczywiście dobry. Musiał być pojętny, przemawiać do uczuć i wyobraźni. Więc trzeba było, myślał Zenon, gryząc kęsy kotleta schabowego, który na szczęś-

cie był miękki i soczysty, trzeba było wyraźnie objąć symboliką pomnika Armię Krajową, powstańców warszawskich z 1944 roku. Przecież właśnie wydanie na łup hitlerowski przez Stalina tych warszawskich dzieci, i zagłada stolicy, to była najboleśniejша rana w świadomości całego narodu. Nikt nigdy w Polsce nie zapomni, że te dzieci zostały faktycznie zdradzone przez Sowietów, niezależnie od tego, co by wypisywali partyjni historycy. Pomnik musi więc uszanować te polskie uczucia, musi się im nisko pokłonić. Jeśli ma spełnić swą misję pojednawczą i jeśli ma przynieść rzeczywistą miłość, prawdziwy szacunek jego autorowi i budowniczemu, nie może się stać jeszcze jedną ponurą dekoracją na scenie, na której ociążałe przytupa i sama sobie klaszcze do taktu władza ludowa, nie może być jeszcze jednym urąganiem i jeszcze jednym kamieniem obrazy dla ludzi i tak ciągle obrażanych — jak pałac kultury, jak ten żołnierz sowiecki Koniecznego w Częstochowie.

Gierek winien zbić na tym pomniku rzeczywisty kapitał polityczny, tak, Zenon życzył Gierkowi jak najlepiej, przy nim wyszedł w górę, przy nim się żywił i z nim wiązał dalsze nadzieje. Musi też dać wieczne miejsce w historii polskiej kultury jemu, Zenonowi.

Tak myślał Zenon, dobierając bigosu, popijając ostrożnie czystą, oczywiście nie jakąś tam żytnią krajową, ale najczystsza z czystych wódek, na przezroczystych butelkach widniał srebrny napis „Absolut”. Doprawdy odpowiedni dla tego grona. Na tę okazję.

Przy deserach zrobił się mały ruch, bo zjawił się jeszcze jeden z zaproszonych gości, Tadeusz Kubzda, teraz pierwszy sekretarz w Krośnie, wykolegowany ostatnio ze swojego udzielnego księstwa lubelskiego. Gierek uważał go za śmieć, ale lubił, bo Kubzda był dobrym strzelcem i jeszcze lepszym pijakiem. Obie umiejętności wyniósł z lwowskiej partyzantki. Nawalił mu w drodze helikopter i musiał lądować w bazie wojskowej w Dęblinie. Stamtąd dojechał samochodem. Dlatego się spóźnił na kolację. Gdy wszyscy już jedli torty, Kubzda łykał pośpiesznie wielkie kęsy wieprzowiny, każdy przemywając, jak mówił, kieliszkiem szybko pitej wódki. Pod czarną czupryną błyskały jego duże, trochę tatarskie oczy i mocne, wilcze zęby. W przerwach między kęsami i haustami opowiadał antyklerykalne dowcipy, które były jego specjalnością. Po każdej poincie wszyscy zebrani zerkali na Gierka i wybuchali śmiechem dopiero, gdy on się zaśmiał. Towarzysz Edward zaś, od czasu objęcia najwyższej władzy ćwiczący maniery królewskie, czy też prezydenckie, śmiał się dobrodusznie; najwyraźniej taktował Kubzdę jako *decorum*, które

trzyma się na dworze i nawet dopuszcza do łask dla zachowania proporcji pomiędzy gabinetowymi i ubeckimi aparatczykami, a takimi autentycznymi działaczami chłopskimi jak Kubbza. Z dowcipów Kubzdy nie śmiał się tylko jego lubelski sukcesor Wojciak, całkowite tamtego przeciwieństwo — technokrata w metalowych okularkach, wyrachowany, skupiony i ostrożny.

Zenon uśmiechał się kącikami ust, miarkując swą wesołość wedle reakcji Gierka. Gdy szef śmiał się na piątkę w skali Beauforta, Zenon dawał trójkę. Gdy Gierek dochodził do trzech, Zenon ledwie się marszczył. Niepokoił się przy tym, czy rozba-wiony Gierek nie zapomni o swojej obietnicy pogadania po kolacji.

14.

Nie zapomniał. Gdy wstali od stołu, Gierek skinął na Zenona i ruszył do salonu, znajdującego się obok jadalni. Cała świta natychmiast zrozumiała intencje szefa. Sekretarze wraz z nadleśniczym wyszli na taras popalić. Obstawa zamknęła za Gierkiem i Zenonem drzwi salonu. Na niskim stole stały filizanki do kawy i dwa koniakowe kieliszki. Obok maszynka z kawą i butelka Napoleona. Gierek usiadł w fotelu. Nalał sobie kieliszek i zaczął go grzać w dłoniach. Bardzo przestrzegał francuskich obyczajów. Choć jako górnik dołowy pracując we Francji nigdy nie pił drogich koniaków, tylko tanie wina stołowe, to jednak teraz pozował na smakosza i znawcę alkoholi, a także sposobów ich picia.

„Mieiliście do mnie sprawę, profesorze?“, zapytał.

„Tak, towarzyszu pierwszy sekretarzu“, powiedział Zenon i głos mu trochę uwiązał w gardle. Wiedział, że rozdaje najważniejszego bodaj pokera w swoim życiu. „Tak — powtórzył — pozwoliłem sobie tu najechać towarzysza pierwszego sekretarza, bo sprawa jest pilna i, powiedziałbym, dyskretna. Więc lepiej pomówić o niej tu, niż w gmachu. I chciałem towarzysza pierwszego sekretarza uprzedzić, zanim dojdą jakieś inne plotki“.

„Tak?“, powiedział Gierek z zainteresowaniem. Rozejrzał się po saloniku. „To może byśmy się przeszli po lasku?“.

„Jak towarzyszu sobie życzy“, powiedział szybko Zenon.

„Tak będzie chyba lepiej. I zdrowiej — zakonkludował Gierek. — Już wyszło chyba po deszczu. Jak myślicie?“.

„Ja się chętnie przejdę. Ja się chętnie dostosuję”. Zenon czekał na decyzję.

„No to chodźmy — powiedział Gierek. — Tylko nie zapomnijcie wziąć kieliszka”. Wstał. Zenon również podniósł się natychmiast.

Gierek, nadal grzejąc kieliszek, skierował się do drzwi. Uchyliły się same. Ukazał się szef obstawy.

„Zachować odległość. Nie nagrywać”, powiedział krótko Gierek. Wyszedł. Gdy ukazał się na ganku, natychmiast ucichły głośne rechoty. Gierek uśmiechnął się do dworzan.

„Nie przeszkadzajcie sobie, towarzysze — powiedział łaskawie. — My sobie z towarzyszem prezesem trochę pospacerujemy”. I ruszył w las.

Zenon, ścigany ciekawymi spojrzeniami dygnitarzy zgromadzonych na ganku, ściskając pod pachą swoją teczkę z projektem pomnika, a w lewej dłoni trzymając kieliszek, szedł z tyłu. Za nimi, w odległości jakichś dwudziestu kroków, zdążył szef obstawy z butelką Napoleona. Po bokach trzeszczały krzaki — to przedzierała się reszta obstawy.

Nie dałbym głowy, czy nas jednak nie nagrają, pomyślał Zenon. Ostatnio sprowadzili duży transport miniaturowych mikrofonów z Japonii. Może nawet Gierek ma taki w spince od koszuli i sam o tym nie wie. Może ja sam mam taki mikrofon w długopisie? Nieważne. Trzeba tę grę rozegrać. Żeby nie wiem co.

Gdy uszli w milczeniu dobre kilkaset metrów, Gierek zatrzymał się, wysączył mały łyk koniaku i powiedział krótko:

„Słucham was”.

„Towarzyszu pierwszy sekretarzu — powiedział Zenon, teraz już głosem spokojnym i pewnym. — To w sprawie tego warszawskiego pomnika”.

„Pomnika? Acha, tak...” Gierek był wyraźnie rozczarowany. Spodziewał się jakiejś grubej intrygi, rozróby, donosu, a ten o pomniku. Coś sobie ten profesor za dużo wyobraża na temat ważności swojego sektora. Ciągać mnie do lasu, żeby o pomniku gadać? Nic jednak nie powiedział. Czekał.

Zenon powiedział głośno — jak nagrywają, to niech to nagrają: „Towarzysz Łukaszenko bardzo słusznie wystąpił z tą inicjatywą, ale...”. Przy „ale” sciszył głos.

„Łukaszenko?”, mruknął Gierek. Acha, pomyślał, więc to będzie donos na Łukaszenkę. Od dawna szukał na niego dobrego kija. Może być ciekawe. „Słucham was, profesorze”, powiedział uprzejmie.

„Towarzysz pierwszy sekretarz podjął wysoce słuszną decyzję o budowie tego pomnika. Mamy już bardzo pozytywne odgłosy

na ten temat, z wielu środowisk, z wielu zakładów pracy, z wyższych uczelni. Także ze Śląska...”.

Ma swoją siatkę, pomyślał Gierek, wiedziałem kogo biorę z Katowic. Dobry jest. Takich mi trzeba. Ciekawe, co ma na Łukaszenkę? Słuchał z zainteresowaniem.

„Decyzja była w pełni słuszna i ogromnie dalekowzroczna — kontynuował Zenon, budując silny fundament pochlebstw pod swoje dalsze wywody. — Już obecnie ta decyzja towarzysza pierwszego sekretarza przynosi ogromne korzyści polityczne. Po ostatnich błędach niektórych towarzyszy w sprawie podwyżek...”.

Do Jaroszewicza pije, skojarzył Gierek, mocno się czuje. Milczał.

Zenon kontynuował:

„Po ostatnich wydarzeniach w Ursusie i Radomiu, w kontekście jątrzenia tego żydowskiego komitetu — taką nazwę przyjęto w środowiskach partyjnych mówiąc o KOR-ze — wasza decyzja jest genialnie trafna. Odwraca bowiem uwagę od tego, co było jedynie błędem w sztuce, a nie pomyłką...”.

Tej metafory Gierek najwyraźniej nie zrozumiał, bo poruszył się niespokojnie, łyknął koniaku i ruszył ścieżką dalej. Zenon zauważył swoje potknięcie. Do towarzysza Edwarda trzeba było mówić raczej wprost, kawa na ławę.

„Mam na myśli — powiedział Zenon — że to co się stało to się stało i się nie odstanie. Ale trzeba to jak najszybciej zamknąć, pogrzebać. I trzeba odwrócić uwagę. Otóż wasz pomnik, towarzyszu pierwszy sekretarzu, taką rolę właśnie spełnia”.

Dobrze mówi, myślał Gierek, pewnie, że „mój pomnik”, pewnie, a co? Ja to zdecydowałem i to będzie mój pomnik. No, sam się na nim nie postawię, jak ten kutas Czaucesku. Ale zawsze będzie wiadomo, kto ten pomnik zbudował. Mój będzie. I ten profesor to wsączy w ucho wszystkim. Po to go mam w tej telewizji. Niech robi.

Zenon mówił dalej:

„Wasz pomnik skupi wokół was ponownie cały naród. Znow wszyscy odpowiedzą zgodnym chórem na wasze 'pomoczenie?'. Wszyscy w budowie tego pomnika pomogą. Ja pierwszy”. Zapalił się. Mówił już szybko i jasno. „To je dobre. To je bardzo dobre. To je wielka idea. Ale musi być dobrze zrealizowana. Bezbłędnie. Galanto. Bo są też wielkie niebezpieczeństwa. Towarzyszu Łukaszenko... — tu zniżył głos — pewnie towarzyszu Łukaszenko mówił o nich towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi, prawda?”.

„Nic mi nie mówił — powiedział powoli Gierek — wy mówcie”.

„A to źle — zmartwił się fałszywie Zenon — to błąd. Wy, towarzyszu pierwszy sekretarzu, musicie znać całą prawdę i całą sytuację. Widzicie, jeśli ten pomnik nie trafi w uczucia społeczeństwa, jeśli broń Boże, jak to się mówi, znów ludzi rozjątrzy, tak jak kiedyś pałac kultury i nauki imienia Józefa Stalina, w sercu Warszawy, i dotąd ten Stalin jest tam wyrity nad wejściem, jeśli ten pomnik wywoła gniew, obróci ludzi przeciwko wam i partii...”. Zawiesił głos, nie dokończył.

„Co radzicie? — zapytał Gierek. — Zaniechać? Odłożyć na półkę?”

Zenon się przeraził. Nie o to mu przecież chodziło.

„Nie! — krzyknął niemal. — Przeciwnie! Ale wybudować taki pomnik, który ludzi zadowoli i który uwieczni wasze imię, towarzyszu Edwardzie”. Pozwolił sobie na tę formę, familiarną, ale zarazem emfatyczną. Wiedział, że Gierek miał kompleks wobec „towarzysza Wiesława”, między innymi właśnie z powodu legendarnego imienia-pseudonimu tamtego. Zazdrościł, gdy tak zwracano się do Gomułki. Starał się „towarzyszem Edwardem” zaćmić „towarzysza Wiesława”. Zenon o tym wiedział.

„Więc co mi radzicie, towarzyszu Zenonie? — Gierek wyraźnie się rewanżował.

„Obejrzcie najpierw projekt tego pomnika, towarzyszu pierwszy sekretarzu”, powiedział Zenon głosem pełnym maskowanego napięcia. Rzucił w krzaki wciąż trzymany w lewej dłoni kieliszek z koniakiem. Otworzył teczkę. Wyciągnął z niej rysunek. Teczka upuścił na ziemię.

Zapadła cisza.

Gierek patrzył na rysunek tępyim wzrokiem i popijał koniak. Nigdy nie spieszył się z sądami w sprawach, o których nie miał pojęcia. To różniło go od Gomułki, który impulsywnie, od razu i zdecydowanie wypowiadał się na każdy temat, a potem trzymał się uparcie swego zdania.

„Objaśnijcie mi to, towarzyszu profesorze”, powiedział Gierek po chwili swym managerskim tonem bossa, który jest otwarty na wszelkie informacje i rady podwładnych, a sam ma też wyrobione zdanie, tylko rezerwuje je sobie na koniec narady.

Zenon na to tylko czekał. Zaczął mówić szybko, ale starał się nadać swemu głosowi ton informacji, a odebrać mu żarliwość. Zdał sobie sprawę, że musi mówić krótko. Czas mógł zacząć pracować na jego niekorzyść. Rozmowa w cztery oczy z pierwszym sekretarzem, w czasie spaceru po lesie, bez mikrofonów (jeżeli istotnie były wyłączone) była najwyższą formą wyróżnienia. Nie można było jej nadużywać.

Zenon objaśnił symbolikę wielkiego V, wypunktował postaci

w obu grupach podtrzymujących ramiona symbolu zwycięstwa-Victorii: powstańcy AK i AL, cywile, kobiety, dzieci, ksiądz; omówił znaczenie wiecznego znicza, który paliłby się bądź na szczytach ramion, bądź u podstawy V.

„Ile to by było metrów sześciennych gazu na minutę?”, zapytał rzeczowo Gierek.

„Nie wiem — wyznał Zenon ze wstydem. — Ale to się obliczy. Zlecę najlepszym specjalistom”.

„Chcę to mieć pilnie wyliczone”, powiedział Gierek tonem decyzji.

„Absolutnie. W krótkich abcugach”, przyrzekł Zenon.

Znów zapadła cisza.

„A cały pomnik? — zapytał Zenon. — Jak decydujecie?”

„A wy jak radzicie?”

Zenon się zawahał. Nie mógł chwalić projektu na chama, bo przecież już za chwilę wyjdzie, kto jest autorem. Powiedział:

„Zważywszy wszystkie okoliczności i moment historyczny, oraz sposób zaprojektowania tego pomnika, ja bym był za tym. Myślę, że ten projekt spełnia wszystkie główne założenia”. Zamilkł. Czekał.

„Dobry”, powiedział po namyśle Gierek.

Zenon poczuł ucisk w mostku i łomotanie w skroniach.

„Dobry — powtórzył mocniej Gierek. — Tylko, wicie, ja bym do tej lewyj grupy ludności dodał, wicie, jakiegoś przedstawiciela Polonii zagranicznej. Myśmy, wicie, tyż walczyli. I jakiegoś górnika. Towarzysze na Śląsku lepiej to przyjmom”.

„Z pewnością — powiedział szybko Zenon — to jest świetny pomysł, to jest ogromnie cenna uwaga, niewątpliwie, absolutnie, wykorzystamy ją w dalszej pracy projektowej. Ja nawet mam taką, wybaczone mi towarzyszu Edwardzie, instynktowną reakcję, że ten górnik powinien mieć wyraz waszej twarzy, choć, głośno myśląc, przedstawiciel Polonii też, wy, towarzyszu Edwardzie, wyrąbywaliście Polskę w kopalniach Francji!”

„No, dwóch tam Gierków na jednym pomniku, to byłoby za dużo — zaśmiał się Gierek, maskując przyjemność, jaką mu sprawiła kolejna porcja wazeliny zaaplikowana przez Zenona. — Jest jeden towarzysz Edward, to już wicie, lepiej żebym to ja był ten górnik, zawsze to już my się zrozumiemy, stara strzecha. A zamiast przedstawiciela Polonii, to bym dał żołnierza spod Monte Cassino. A co? Jak się majom cieszyć, to niech się cieszą. Nam, pierona, nie ubendzie”.

„Ja myślę, że to jest doskonała decyzja — Zenon świadomie użył tego słowa, podsuwając je rozmówcy. — To jak, towarzyszu Edwardzie, mam ten pomnik budować? Z tą Victorią i z waszą

postacią?” Powiedział to jakby lekko, ale wewnątrz był spięty do ostatnich granic. Pula była ogromna.

„A budujcie, budujcie — powiedział Gierek uśmiechnięty. — Budujcie — powtórzył jeszcze raz. — I to szybko — dodał. — Powiem Zasuwie, żeby nie liczył kosztów. W tym dewizowych. Ale, ach, czy to jest projekt?”

Zenon wiedział, że takie pytanie nastąpi. Ale spocił się, odpowiadając. To była ostatnia przeszkoda do przeskoczenia w tym biegu.

„Zespół pod moim kierunkiem”, powiedział skromnie.

„Wy?”, zdziwił się Gierek.

„Ja...”, potaknął Zenon.

Gierek zamyslił się. Zrozumiał grę Zenona. Ale spodobała mu się ta gra. Ten profesor jest niezłym pokerzystą. Może nawet za mocnym. No, może być mocny na Łukaszenkę, nie na mnie. Widać, że ma zeza na jego stołek. Może nawet warto by go wykorzystać w rozgrywce z Łukaszenką, który najwyraźniej ma szersze ambicje i montuje jakieś układy w KC. A ten, Zenek, będzie służył wiernie. Trzeba mu to dać. Niech się nachapie. Będzie wdzięczny.

„Aaa, to się cieszę — powiedział wreszcie Gierek z szerokim uśmiechem, po chwili, która dla Zenona była jak godzina w poczekalni dentystycznej. — Bardzo się cieszę — kontynuował — tak odpowiedzialne zadanie musi spoczywać w odpowiedzialnych rękach”. I dodał: „Macie moją zgodę”, wiedząc, że taka formuła musi ostatecznie paść na zakończenie rozmowy. Inaczej sprawa nie mogłaby ruszyć z miejsca.

„Dziękuję wam, towarzyszu pierwszy sekretarzu — powiedział Zenon, siłąc się na spokój. — Dziękuję wam gorąco. Nie zawiodę was. W tej sprawie i w żadnej innej. Na 35-lecie Powstania Warszawskiego będziecie przecinać wstęgę na otwarciu tego pomnika. I to będzie wielki moment w historii Polski. Wasze imię zostanie zapisane w księgach tego narodu”.

Gierek przełknął kolejny komplement z kolejnym łykiem koniaku.

„Teraz tylko bym prosił, towarzyszu pierwszy sekretarzu, abyście wydali Telekomitetowi oficjalne polecenie, aby nadał sprawie odpowiednią rangę, a już ja wszystkiego dopilnuję. To musi przejść służbowo przez towarzysza prezesa Kubalskiego. I bardzo by wszystko uprościło, jakbyście też poinformowali towarzysza Łukaszenkę, że widzieliście projekt pomnika i że go zatwierdziliście. Projekt będzie miał w konkursie godło 'Strzecha'. Na waszą cześć, towarzyszu pierwszy sekretarzu. 'Strzecha'. Konkurs

jest anonimowy, ale to godło musi znać towarzysz Zasuwa. On przewodniczy sądowi konkursowemu”.

Teraz dopiero Gierek zrozumiał do końca całą intrygę. Była ona misterna, bezczelna, sprytna. Przez chwilę miał ochotę jednym zdaniem przewrócić cały ten namotany przez Zenona plan. Ale pomyślał, że sam odniesie z niego korzyści, więc nie zrobił sobie tej małej przyjemności. I tak może zawsze Zenona zgnoić. Ma na niego te dokumenty ze Śląska. Ma różne raporty Kubalskiego. A teraz, z raze potrzeby, wystarczyłoby napomknąć Łukaszence, że Zenon mu robi koło pióra, i już on sam by go załatwił.

„Będę pamiętał — powiedział poważnie. — A teraz napijmy się za załatwioną sprawę. Za wasz pomnik”.

„Za wasz pomnik, wasz, towarzyszu pierwszy sekretarzu”.

„No, nie będziemy się spierać, czyj. Ale, ale, gdzie wasz kieliszek?”

„Zawadzał mi, gdzieś go posiadam”, powiedział Zenon.

Gierek zatrzymał się, sięgnął do paska i nacisnął przycisk radiotelefonu. Ścieżką przytruchtał natychmiast szef obstawy, wciąż trzymający w ręku butelkę Napoleona.

„Koniaku nam zabrakło — powiedział Gierek i wyciągnął kieliszek. — A towarzysz prezes gdzieś zgubił swego kielonka”.

Tajniak zgrabnie nalał koniaku do kieliszka Gierka.

„Moja wina — powiedział — nie wziąłem zapasowego kieliszka”.

„Ja mogę z butelki — powiedział Zenon. — W takiej chwili!”

Sięgnął po butelkę i wziął ją z ręki tajniaka. Gierek wysunął kieliszek. Stuknęli się. Gierek wypił mały łyżeczek. Zenon przechylił butelkę do ust i zaczął pić dużymi łapczywymi łykami. Pił długo.

„Do dna! — krzyknął. — Zdrowie towarzysza Edwarda”. Znowu przytknął do ust butelkę. Wypił do końca.

Gierek patrzył i podziwiał.

„No, tośmy wszystko uzgodnili — powiedział znowu smakując koniak. — Może zostanieie do jutra na polowanie? Znajdzie się dla was jakaś fuza”.

„Dziękuję serdecznie, towarzyszu pierwszy sekretarzu, ale nie mogę. Nie mogę. Muszę się zaraz zabrać do pracy. Trzeba projekt rozrysować, wykonać obliczenia, nie zapomnę o gazie, w Warszawie słabe ciśnienie gazu, ale na taki cel nikt nie będzie oszczędzał. Trzeba zrobić makiety. Plany. Muszę sprawdzić płuca tej małej garbatej...”. Zaczął się płatać.

„No to wracajmy — powiedział Gierek. — Siłą was nie zatrzymam. To nie mój zwyczaj”.

Ruszył ścieżką. Zenon za nim, ściskając pod pachą kartę bristolu z projektem. Teczki, w której miał kalendarz, polaroid i wykazy projektów zapomniał na leśnej ścieżce. Wymachiwał pustą butelką koniaku. Szef obstawy szedł teraz tuż za nimi i bacznie obserwował ruchy Zenona. Szli tak długo w milczeniu. Kroki Zenona stawały się coraz bardziej niepewne.

Nagle Zenon zachwiał się, zatrzymał, popatrzył na Gierka i łzy trysnęły mu z oczu. Rzucił w górę butelkę, która rozprysnęła się na pobliskiej sośnie. Zawołał na cały głos:

„Niech żyje ukochany przywódca narodu Towarzysz Edward! Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!”. Przy trzecim „niech żyje” zwałił się na ziemię bezwładnie jak worek.

Gierek patrzył na Zenona z sympatią.

„Zajmijcie się nim — powiedział do szefa obstawy. — Ja wracam do domu”. Ruszył w kierunku pałacyku. Natychmiast z krzaków wychynęło czterech roślących agentów. Dwaj poszli za Gierkiem, a dwaj zaczęli zbierać z ziemi Zenona.

„Niech żyje towarzysz Edward, niech żyje...”, mamlął Zenon i nagle dał potężnego pawia, prosto na spodnie podnoszących go tajniaków. Odskoczyli klnąc po wojskowemu. Zenon zwałił się na ziemię, zwinął w kłębek, ze swoim projektem w objęciach, „zdrowie towarzysza Edwarda...”. Wymiotował w głęboki mech, a potem upadł twarzą w to co zwrócił. „Zdrowie... Niech żyje... Ukochany przywódca...”. Bełkotał.

Tajniacy stali nad nim niezdecydowani.

15.

Choć straszliwie skacowany i mocno podziębiony spędzoną w lesie nocą — tajniacy zostawili go na ścieżce, zbudził go dopiero poranny chłód i bladym świtem dowlókł się, cały obrzygany, do nadleśnictwa — Zenon wracał do Orońska w euforii. Garnitur od Harroda miał wilgotny i poplamiony. Koszulę brudną. Drzemał niespokojnie, rozwalony na tylnym siedzeniu. W Orońsku podjechał pod boczne wejście pałacu. Zawołał kamerdynera. Kazał sobie podać szlafrok. Dał do oczyszczenia garnitur i do uprania koszule. Wziął kąpiel, łyknął cztery tabletki na ból głowy i poszedł spać, zapowiadawszy spotkanie z kursantami po kolacji w sali kominkowej.

Zgromadzonym w ogromnym napięciu młodym najpierw jeszcze raz podziękował okrągłymi słowami za pracę. Następnie przeczytał z notesu pięć nazwisk ludzi, których zapraszał do zespołu projektowego. Poprosił, żeby zgłosili się do niego w gmachu telewizji już w poniedziałek rano o dziesiątej.

Był koniec sierpnia 1977 roku. Projekty pomników miały być gotowe do 31 grudnia. 31 stycznia 1978 sąd konkursowy miał wydać werdykt. 22 lipca tegoż roku Gierek miał wmurować kamień węgielny pod budowę pomnika. 31 lipca 1979, w przeddzień rocznicy Powstania Warszawskiego, Gierek miał pomnik odsłonić. Harmonogram był ścisły i napięty. W propagandzie telewizyjnej to się będzie nazywało „gierkowskie tempo”, zdecydował Zenon.

Pracownia była w gmachu telewizji. Zenon miał w ten sposób łatwość nadzoru. Zaraz na pierwszym spotkaniu przekazał młodym rzeźbiarzom swoją wizję całości, wraz z dodatkami zleconymi przez Gierka. Pomnik miał stanąć na środku Placu Defilad i wysokością przewyższyć Pałac Kultury, unieważnić go i przysłonić. Byłby istotnie konstrukcją monumentalną, najwyższą w Warszawie, mającą ogromną skalę, oddziaływującą potężnie, widoczną z daleka. To z kolei miało się nazywać „gierkowską skalą”.

Młodzi rzeźbiarze zostali przyjęci formalnie do pracy w telewizji na wysokie etaty konsultantów programów artystycznych. Prezes Kubalski nie miał co do tego żadnych zastrzeżeń; wielu ludzi brało wtedy gąże w telewizji za zupełnie innego typu usługi, niżby to wynikało z ich tytułów służbowych.

Cała piątka pracowała ostro. Zenon robił cotygodniowe konferenckie. Łakomie spoglądał na twarde biust garbuski i na długie nogi krakowianki, ale postanowił odłożyć bliższe zbadanie ich anatomii na czas po wybudowaniu pomnika. Był pewien, że go będzie budował. Zapowiedział młodym nie tylko równy podział honorarium, ale i dodatkowe premie w postaci rocznych stypendiów zagranicznych; załatwił je z ministrem szkolnictwa wyższego. W jakimś ustronnym hoteliku na Capri zgrabniej będzie dobrać się do tych dziewczyn niż tu, gdzie i tak przez sypialnię przy jego gabinecie przewijały się co jakiś czas dziennikarki z terenowych ośrodków telewizji, studentki polonistyki i dziennikarstwa poszukujące pracy w telewizji, aktoreczki, budujące w prawdziwym pocie i symulowanych orgazmach swoje kariery.

Makieta projektu, będąca w istocie pokaźnych rozmiarów rzeźbą, wkomponowaną w urbanistyczne otoczenie, również oddane w formie makiet — była gotowa w terminie. Wszystko robiono na gwałt, terminy były szalenie napięte, więc prace od

razu wystawiono w Zachęcie. Chodziło o wzbudzenie najszerzego zaangażowania społeczeństwa w budowę pomnika, aby — tak jak planowano — odwrócić uwagę od narastającego kryzysu gospodarczego i politycznego. To się powiodło. Wystawa wzbudziła ogromne zainteresowanie. Przez Zachętę przelewały się tłumy. Zenon nie zaniedbał uruchomić lawiny pochlebnych omówień i recenzji projektu oznaczonego godłem „Strzecha”. Zapewnił nawet, przy pomocy swoich donosicieli, kilkaset wpisów do książki wyłożonej na wystawie, których autorzy domagali się realizacji pomnika przedstawiającego wielkie V. Wszyscy jurorzy zostali nieoficjalnie poinformowani, różnymi kanałami, że na tym właśnie projekcie spoczęło łaskawe oko Edwarda Gierka. Nazwiska autora nie znali. Domyślali się Koniecznego. Zżymali się, że stał się monopolistą monumentalnych pomników, ale rozumieli, że taki jest układ i nie zamierzali przeciwko niemu wierzczać.

Zresztą projekt wielkiego V istotnie robił wrażenie i zdecydowanie wyróżniał się spośród innych prac śmiałością wizji, skalą rozmachu, znakomitym połączeniem symboliki z realizmem, a także szczęśliwym pogodzeniem wielu różnych tendencji. Żadna nie mogłaby być zaakceptowana z osobna — bądź przez społeczeństwo, bądź przez władze, a tu harmonizowały ze sobą, zyskały powszechne poparcie. Pamięć zbiorowa przechowywała malowane przez małych żołnierzy Szarych Szeregów litery V na murach stolicy. Victoria, będąc symbolem tyleż polskim co alianckim, łączyła walkę w kraju z walką aliantów i wojsk polskich na zachodzie; nie tylko polskie, ale i alianckie załogi bombowców dokonywały zrzutów na powstańczą Warszawę i ginęły masowo, nie dopuszczone do lądowania po rosyjskiej stronie frontu. Przemawiała więc do uczuć postać żołnierza w mundurze i hełmie Drugiego Korpusu, podtrzymująca ramię Victorii obok grupy powstańców, cywili, dzieci i księdza. Cała koncepcja pomnika nasuwała myśli o jakimś przyszłym wielkim narodowym zwycięstwie. Zarazem włączenie partyzantów AL i berlingowców do zespołu postaci dźwigających Victorię, nawet najzagorzalszych endeków specjalnie nie raziło. Ostatecznie oddziały AL, choć nieporównywalnie mniejsze, jednak także z Niemcami walczyły, a berlingowcy nie byli w stanie pomóc Warszawie, wydanej na łup przez Stalina. Zastanawiał wśród cywili górnik z kilofem, ale ginął jakoś wśród innych postaci, nie zwracał specjalnej uwagi. Zenon celowo w tej projektowej fazie nie nadał jego głowie rysów Gierka.

Projekt oznaczony godłem „Strzecha” miał więc jeszcze przed ostatnim posiedzeniem sądu konkursowego duże szanse. Na posiedzeniu, po dyskusji, której losy ważyły się niespodziewanie długo,

zyskał ostatecznie aprobatę jurorów i pierwszą nagrodę w wysokości pięciu milionów złotych.

Minister kultury podpisał protokół.

Otwarto koperty z nazwiskami autorów. Zaskoczenia nie było. Paru członków jury poczuło się jednak wmanipulowanych w aferę. Stary profesor Fidecki wyszedł, trzaskając drzwiami. Paru innych, odwrotnie, zobaczyło w decyzji sądu konkursowego nadzieję na awanse i ordery. Minister wyraził zadowolenie. Wybór projektu oznaczonego godłem „Strzecha”, autorstwa Zenona Bugdała wraz z zespołem, stał się faktem.

16.

Już nazajutrz premier Jaroszewicz podpisał zlecenie realizacji pomnika i zorganizował uroczystość oficjalnego ogłoszenia wyników konkursu. Kilka z zaproszonych do Urzędu Rady Ministrów osób nie przyszło, ale cały tłum artystów, urzędników, funkcjonariuszy partyjnych rwał się do gratulowania Zenonowi. W KC szeptano o jego bliskim awansie do sekretariatu. W telewizji Kubalski, robiąc dobrą minę do nie swojej gry, dał Zenonowi specjalną kopertówkę i zaczął rozmyślać, czy te sukcesy jego zastępcy nie oznaczają, że zastępca wkrótce stanie się następcą; zwłaszcza, że od paru tygodni wybladłe sekretarki donosiły Kubalskiemu o znikaniu na jakiś czas z archiwów przeróżnych list płacy z jego podpisami. Oznaczało to tajne dochodzenie finansowe. Na wszelki wypadek podrzucił Łukaszence kilka fotografii Zenona wykonanych z ukrytej kamery w jego sypialni w gmachu telewizji, ukazujących go w dość jednoznacznych pozach z towarzyszeniem uczestniczek seminarium dla reporterów rolniczych, zorganizowanego ostatnio przez ośrodek warszawskiej TV. Dołączył parę autentycznych szwedzkich zdjęć porno.

Zenon w udzielanych na prawo i lewo wywiadach był wstrzeмиęzliwy i skromny. Powtarzał, że starał się tylko wyrazić świadomość narodową, idee, uczucia i myśli wielkich mas. Nie zapominał nigdy napomykać o swojej własnej przeszłości w ruchu oporu na Śląsku, o walce z Niemcami prowadzonej w najtrudniejszych warunkach. Akcentował też swoją miłość do Warszawy, gdzie w tej chwili, choć od niedawna, mieszkał i tworzył, a

którą kochał całe życie. Podkreślał przy każdej okazji, że idea wybudowania tego pomnika wyszła od Edwarda Gierka i że ten wielki przywódca i wizjoner jest właściwym inspiratorem jego, Zenona, a także zespołu młodych talentów, który służył mu pomocą w pracy koncepcyjnej i projektowej. Ta jego współpraca z młodym pokoleniem jest znakomitym przykładem tego, co dzieje się w całym kraju: młode pokolenie twórców, naukowców, robotników, młodzieży wiejskiej łączy się we wspólnej pracy z doświadczonymi działaczami, mistrzami, nauczycielami, budowniczymi Polski Ludowej.

Te ostatnie wywody były oczywiście adresowane do Gierka i zawierały sugestie odznaczenia Zenona orderem Budowniczego Polski Ludowej, najwyższą partyjną nagrodą za wierną służbę. Gierek aluzję poniał. W trybie pilnym załatwiono papierkową robotę w Radzie Państwa i już na 22 lipca 1978 roku Zenon otrzymał to najcenniejsze (także ze względów finansowych) odznaczenie. Tego samego dnia popołudniu Gierek wmurował kamień węgielny pod pomnik. Zenon stał obok niego.

Decyzja sądu konkursowego była szeroko komentowana w prasie i w rozmowach. Spotkała się — jak rzadko to się zdarza z decyzjami rządowymi i partyjnymi — z prawie powszechnym poparciem. Ludzie dzwonili do Zenona z gratulacjami i podziękowaniami. Dostawał do telewizji tysiące listów z całego kraju. Podpisywanych i anonimowych. Czytał je, a przynajmniej przeglądał, wszystkie.

„Przez całe dotychczasowe życie byłeś świnią, ale tym projektem zmasałeś wszystkie swoje świństwa”.

„Dotychczas myślałam, że jesteś tylko partyjnym urzędnikiem, ale teraz wiem, że artysta był w tobie tylko uśpiony. Zbudź się w pełni. Zerwij z komuną. Twórz dla Polski”.

Jego główny i najbardziej poszkodowany rywal, Konieczny, przesłał mu małą statuetkę warszawskiej „Nike” i kartkę: „Drugiemu Dunikowskiemu — Pierwszy Konieczny”.

Dostał też wzruszający list od swojej pierwszej żony, w którym przebaczała mu wszystko i pisała, że zawsze w niego wierzyła.

Napisał do niego i syn, z zakonnego nowicjatu. Czas biegł szybko i już za dwa lata miał mieć święcenia kapłańskie. Syn pisał, że modli się za niego codziennie, pości na jego intencję i zawsze bardzo go kocha.

Przychodziły listy ze śląskich kopalń. Huta Katowice zobowiązała się wykonać bezpłatnie całą konstrukcję stalową pomnika, ubiegając w ten sposób Hutę Warszawa. Załoga budowy

warszawskiego metra postanowiła wykonać w czynie społecznym wszelkie roboty fundamentowe.

Wielki znak zwycięstwa miał już za rok stać w sercu Warszawy, przesłonić znieawidzony kształt pałacu kultury i nauki imienia Stalina, zogniskować uczucia całego narodu.

Zenon chodził w glorii. Uwierzył w siebie jako artystę. Planował kolejne prace — pomniki, rzeźby przestrzenne, posąжки z ulubionego węgla. Myślał o sobie jako o wielkim rzeźbiarzu i wielkim patriocie.

Marta, jego druga żona, stała się nagle ogromnie czuła i pełna uwielbienia. Sekretarki, dziennikarki, inspicjentki i barmanki w telewizji rozpyływały się w uśmiechach. Na korytarzach — zarówno w telewizji jak KC — ludzie nisko mu się kłaniali.

Uzgadniał szczegóły konstrukcyjne i finansowe budowy pomnika nad głową Łukaszenki, bezpośrednio z Gierkiem, dla którego całe przedsięwzięcie stało się oczkiem w głowie. Z Kubalskim planowali już wielką uroczystość odsłonięcia pomnika na rocznicę Powstania w 1979 roku. Miała być ogromna defilada wojskowa. Parada powietrzna. Pod dyrekcją pułkownika Satanowskiego, dyrektora Teatru Wielkiego, miały wystąpić wszystkie połączone orkiestry symfoniczne i ich chóry z całego kraju. Wiersze Baczyńskiego recytować mieli Holoubek, Zapasiewicz, Łonnicki i Dmochowski. Ulecieć miało w górę 35 tysięcy białoczerwonych baloników wypuszczonych przez dzieci szkolne, symbolizując 35 lat od wybuchu Powstania. Gierek miał wygłosić przemówienie i przeciąć wstęgę.

Zenon był w stanie, który sam nazywał „kontrolowaną euforią”, nie mylić, mówił, z kontrolowanym poślizgiem, a zwłaszcza z niekontrolowanym. Powołał większe, wielobranżowe biuro projektowe, tym razem przy warszawskim Mostostalu. Ramiona wielkiego V były konstrukcjami stalowymi o ogromnej wysokości i trudnej statyce. Trzeba było doprowadzić osobne, mające dużą moc przepustową ujęcie gazu do znicza. Trzeba było wykonać skomplikowane roboty ziemne. Piętnastometrowej wielkości figury postaci podtrzymujących V miano rzeźbić i odlewać równoległe z pracami na placu, a potem transportować je helikopterami. Koszty się nie liczyły. Były astronomiczne.

Jesień miano poświęcić na projektowanie i przygotowanie ścisłych harmonogramów. Zimą, do końca marca, na wykonanie w hutach i pracowniach rzeźbiarskich wszystkich osobnych elementów. W kwietniu miano wykopać fundamenty. Od maja miał się rozpocząć montaż całości na Placu Defilad.

Zenon osobiście doglądał wszystkich prac. Krążył pomiędzy biurem projektowym a zakładami pracy i uczelniami, które były zaangażowane w robotę. Zaznaczał swą obecność. Podejmował decyzje. Miał nieograniczone pełnomocnictwa kadrowe i finansowe.

17.

Tak się akurat złożyło, że na styczeń 1979 roku wyznaczono w Moskwie wielką międzynarodową wystawę „Postępowej rzeźby ludzkości”. Zenon dowiedział się o tym przypadkowo na przyjęciu z okazji rocznicy rewolucji październikowej w ambasadzie sowieckiej.

Wyczuł w tym szansę pójścia jeszcze ostrzej w górę, wyrobienia sobie osobistych kontaktów na Kremlu, co jest zawsze najwyższym marzeniem, a zarazem najlepszym zabezpieczeniem dla partyjnego działacza w kraju satelickim. A co? Pomnik miał sam w sobie ogromny walor jako rzeźba. Uzyskał sukces w warszawskiej Zachęcie. Dlaczego nie wystawić go w Moskwie? Potem może biennale w Berlinie Zachodnim? Może muzeum sztuki nowoczesnej w Nowym Jorku?

Zatelefonował do Gierka, pytając-sugerując wysłanie warszawskiego pomnika na tę moskiewską wystawę. Gierek obiecał mu odpowiedź w ciągu paru godzin. Po porozumieniu się z Moskwą i z ambasadą na Belwederskiej, dał znać Zenonowi, że nie widzi przeszkód, odwrotnie, że to jest dobry pomysł i że czyni go odpowiedzialnym za jego realizację. Było to zielone światło.

W parę minut po telefonie Gierka zadzwonił do Zenona ambasador sowiecki i zaproponował mu wysłanie na międzynarodową wystawę rzeźby w Moskwie pomnika jego autorstwa w formie wielkiej rzeźby. Powiedział Zenonowi, że słyszał — nie powiedział, że od Gierka — o wielkim znaczeniu, jakie polskie kierownictwo przywiązuje do tego dzieła i o randze, jaką nadaje sprawie jego budowy. Otóż ranga ta mogłaby jeszcze wzrosnąć, gdyby pomnik, na przykład, uzyskał złoty medal na wielkim światowym forum w Moskwie.

Zenon powiedział, że jest mile zaskoczony i czuje się ogromnie zaszczycony propozycją, bowiem istotnie, projekt ma wielką wagę dla Polaków, a zarazem symbolizuje on obok innych treści

niezłomną przyjaźń Polski i Związku Radzieckiego. Jak mianowicie? Oto lud Warszawy, a nie zabraknie tam i przedstawiciele całego kraju, zwłaszcza śląskich górników, gromadzi się na tym pomniku niejako wokół pałacu kultury i nauki, tego wspaniałego daru ludzi radzieckich dla Polski.

Ambasador był z tego bardzo zadowolony. Prosił tylko, aby Zenon przesłał mu, a on to już przekaze organizatorom wystawy, fotografie i rysunki rzeźby, wraz z dokładnym jej opisem i interpretacją. Makieta zaś pomnika, traktowana jako rzeźba-eksponat na wystawę, winna być wysłana bezpośrednio do Moskwy.

Zenon jakoś nie pomyślał, jakie wrażenie wywoła w kraju wiadomość, że jego pomnik, że ten warszawski pomnik chwałą Moskale. Przestał myśleć o takich drobnostkach i przestał — ponownie — liczyć się z opinią publiczną. Szedł ostrym kursem ku złotemu medalowi na wystawie w Moskwie. I to go tylko teraz obchodziło.

Włączył do działania również swoją żonę, która sprawnym dziennikarskim piórem wysmażyła na użytek towarzyszy radzieckich długi elaborat w stylu propagandowo-sloganowym, przedstawiając dzieło jako właściwie, nieomal, prawie-że kolejny pomnik przyjaźni polsko-radzieckiej. Dokumentacja, fotografie i opisy zostały wysłane. Niebawem oficjalnie przyjęte. W początku grudnia 1978 roku osobnym wagonem wysłano do Moskwy, specjalnie wykonaną przez piątkę młodych rzeźbiarzy, wielką makietę pomnika. Jury miało oglądać eksponaty w ostatnich dniach grudnia. Wernisaż, połączony z ogłoszeniem nagród, wyznaczono na wieczór sylwestrowy. Po tym miał się odbyć wielki bal.

Zenon poleciał z Martą do Moskwy w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia. Zamieszkali w Hotelu Rassija. Piątkę młodych Zenon wysłał sleepingiem, ale kazał ich ulokować w tym samym hotelu i to w osobnych pokojach. Niech pożyją. Nie miał zresztą żadnych planów w stosunku do obu dziewczyn. W Moskwie musiał się z góry nastawić na bardzo porządne prowadzenie. Na każdym piętrze hotelu pokojowa obserwuje gości i donosi gdzie trzeba. Ale i tak był w świetnym nastroju.

Jechał do Moskwy jako członek KC, jako wiceprezes telewizji, jako doradca pierwszego sekretarza i jako artysta. Liczył na nawiązanie dobrych i mocnych kontaktów, które owocowałyby następnie w Warszawie. Nie budząc specjalnych podejrzeń donosicieli Łukaszenki czy Kubalskiego, zaplanował i uzgodnił z góry kurtuazyjne wizyty i spotkania z odpowiadającymi mu rangą urzęd-

nikami w KC partii sowieckiej i w moskiewskiej telewizji, a także w Akademii Sztuk Pięknych. Liczył też, że na wernisazu wystawy znajwi się jakiś członek najwyższego sowieckiego kierownictwa, może będzie na przykład wręczał medale? Będzie więc okazja zapoznać się, podliznąć, dać się zapamiętać. A kiedy nazwisko nowego sekretarza KC PZPR do spraw propagandy, nauki i kultury (jego nazwisko...) zostanie przetelefonowane do Moskwy z prośbą o akceptację, to nie będzie żadnych zbędnych pytań czy wątpliwości. Będą go tu znali. Z najlepszej strony.

Był szczęśliwy. Ostro płynął z partyjnym wiatrem, robił miłowe kroki w karierze, rozszerzał swą władzę, wpływy, znajomości i możliwości.

Ten medal w Moskwie da mu potężny dopalacz na kraj. Kiedy jest następne posiedzenie KC? Chyba w lutym. Może już wtedy wejdzie do sekretariatu? Równocześnie niedaleka już perspektywa wybudowania w Warszawie pomnika dawała mu poczucie spełnienia jako artysty. Wpisze swoje imię na listę najbardziej kochanych i szanowanych przez naród twórców.

Brnąc coraz dalej i głębiej w gówno, równocześnie oczyszczał się w swojej własnej świadomości i uszlachetniał. Robić partyjną karierę na antypartyjnych nastrojach społecznych, była to doprawdy gra godna arcymistrza. Jakby jednym ruchem szachował razem króla i królową. Królową, lub hetmanem, jako kto woli, był w tej grze Łukaszenko. Zenon przewidywał, że go strąci z szachownicy już niedługo, już zapewne tym medalem w Moskwie. Królem zaś był naród, któremu da mata, a raczej zmusi do uznania swej wielkości jako artysty i patrioty. Narzuci swoje nazwisko narodowej pamięci.

Tymczasem robili z Martą zakupy w sklepach Bieriozki. Zenon składał oficjalne wizyty. Doglądał ustawiania swojej rzeźby w galerii. Została wspaniale wyeksponowana. Dano jej miejsce na wprost centralnego wejścia do sal wystawowych. Widać ją było już z ulicy przez potrójne szklane drzwi. Wielkie V było umiejętnie podświetlone. Doprowadzono też gaz do zniczy umieszczonych ostatecznie na szczytach obu ramion. Wedle komentarza Marty symbolizowały one właśnie najgłębiej przyjaźń polsko-sowiecką. Gaz palił się szarpanym, łomoczącym płomieniem. W tle ustawiono wielką makietę pałacu kultury. Zenon kazał ją na tę okazję zrobić większą, tak, że wzajemne proporcje pomnika i pałacu były nieprawdziwe, ale za to bardziej stosowne w Moskwie. Całość robiła imponujące wrażenie.

Gdy Zenon przyszedł w przeddzień Sylwestra na kolację do ambasady PRL — ambasador powiedział mu, że jury przyznało

mu złoty medal. Będzie to ogłoszone oficjalnie jutro, na wernisażu. On już powiadomił o tym towarzysza Edwarda i ten prosił, żeby Zenon zaraz się z nim połączył, jak tylko przyjdzie do ambasady. Przeszli przez parę sal i znaleźli się w gabinecie ambasadora, który wykręcił numer. Połączenie było natychmiastowe.

„Gratuluję wam, towarzyszu profesorze — usłyszał Zenon w słuchawce ojcowski ton Gierka. — Dobrze reprezentujecie polską sztukę w kraju rad. Towarzysze radzieccy są bardzo zadowoleni z waszej pracy jako artyści. Uznali również przeprowadzone przez was rozmowy za bardzo pożyteczne. Wyrażam wam uznanie w imieniu własnym i całego kierownictwa. Jak tylko już ten sukces opijecie, wracajcie i wpadnijcie do mnie. Ja też chcę się z wami trącić na tę okazję. A do tymczasem, życząc wam szczęśliwego nowego roku”.

Zenon niemal kłaniał się słuchawce. Był uszczęśliwiony. Oczywiście każde słowo tej rozmowy zostało zarejestrowane. Niech sobie Łukaszenko odsłucha. Niech Kubalski wie. A co? Właściwie to mógłbym wejść za jednym zamachem do sekretariatu i objąć całość rządów w telewizji na Woronicza. Już ja wam dołożę po powrocie z Moskwy!

„Ja dziękuję, dziękuję gorąco. Wszystkie siły. Talenty. Energie. Dla towarzysza pierwszego sekretarza. Dziękuję towarzyszowi pierwszemu sekretarzowi, dziękuję, brak mi słów, dziękuję...”.

Wypili z ambasadorem chyba ze skrzynkę Stolicznej. Marta na zakończenie kolacji o mało nie zrobiła strip-teasu na stole. Ciężko pijanych szofer ambasady odstawił do hotelu. Sekretarz ambasady, też dobrze pijany, odprowadził ich aż do apartamentu. Zatrzymywali go na dalsze picie. Nie wymawiał się. Zwolnił samochód i został. Najwyraźniej czuł się zaszczycony.

Zenon postanowił zaprosić także swoją pracownię, całą piątkę młodych. Zataczając się od ściany do ściany, biegał po długich korytarzach hotelu i łomotał do ich drzwi, aż musiały go uciszać pokojowe. Wszystkich powyciągał z łóżek. Jednego z asystentów zastał w wannie z garbuską. No, wcale nie była taka garbuska. Piękne ciało, drobne piersi, tylko trochę krótko osadzona szyja. Nie był o nią wcale zazdrosny. Wręcz się rozczulił.

Pili potem wszyscy razem gruziński koniak i parzyli grzałkami kawę. Zenonowi udało się wymanewrować garbuskę do zmywania szklanek w łazience. Natychmiast zaczął badać jej płuca. Dziewczyna nie broniła się, ale i nie zachęcała go. Dostał tylko słabego wzrodu. Dał jej spokój. Śpiewali piosenki partyzantkie i harcerskie, „Pierwszą Brygadę” i „Przybyli ułani pod okienko”, a że był to czas Bożego Narodzenia, więc i kolędy. Po

korytarzach hotelu Rassija niosło się „Przybieżeli do Betlejem pasterze...”. Sekretarz ambasady nie śpiewał jakoś, bolało go gardło, pierwszy pękł i ulotnił się. Młodzi wyszli, a raczej się wyczłógali, nad ranem. Zenon z Martą zrzucili ubrania i bieliznę. Walnęli się na łóżka. Zenon falował, lewitował. Dopłynął do kolejnego portu. Już, już włązi na same szczyty władzy. Już wpisuje się do panteonu wielkich narodowych mistrzów. Czemu ma być drugim Dunikowskim? Będzie pierwszym!

18.

Zbudził go telefon.

Musiał długo dzwonić, zanim do Zenona poprzez potworny ból głowy dotarło, że coś hałasuje, coś świdruje mu mózg. Ale gdy przypomniał sobie, dlaczego wczoraj świętował — wiadomość o medalu, rozmowa z Gierkiem, radosne picie — nie potrafił być nawet zły, że ktoś go budzi. Był przyjacielem całego świata. Kochał wszystkich. Nawet tę słuchawkę. Nawet ten kobiecy głos, który odezwał się do niego.

„Czy to towarzysz wiceprezes?”

„Tak, to ja, kochanie”.

„Łączę z szefem”, usłyszał.

Coś stuknęło. Po chwili odezwał się głos męski.

„To towarzysz wiceprzewodniczący?” Był to głos Łukaszenki. „Posłuchajcie mnie uważnie, towarzyszu...”.

Zenon zdziwił się. Byli z Łukaszenką na ty. Nie spodziewał się telefonu od niego. Ale — pomyślał — pewnie Lolek chce mi się podlizać, już wyczuł, że polecą, chce mnie kupić komplemtem...

„Tak, to ja — powiedział godnym głosem laureata, mistrza, następcy swego rozmówcy, przyjaciela Gierka i zaufanego towarzyszy radzieckich. — Jaka tam pogoda w Warszawie, Lolek?”, zapytał protekcjonalnie.

Tamten całkowicie zignorował to pytanie i powiedział tonem oznajmującym i oficjalnym:

„Jesteście wezwani do natychmiastowego powrotu do Warszawy”.

„Jak to...”, zdziwił się odruchowo Zenon.

„Zrozumieliście mnie, czy też jesteście zbyt pijani?”, usłyszał. Jeszcze nie pojmował. Powiedział:

„Ależ Łuka drogi, co ci się tak spieszy? Dzisiaj wieczorem jest wernisaż, mam mieć wręczony złoty medal. Czy to bardzo pilne? Przylecę pierwszego. Jutro. Po balu”.

„Przyleciecie dzisiaj — powiedział tamten i Zenonowi czegoś zaczęło się robić zimno. — Macie zrobioną rezerwację w Aeroflocie. Po przyjeździe zgłosicie się natychmiast do mnie. O żadnym medalu nic nie wiem. Chyba coś wam się popieprzyło po wczorajszej rozróbie w hotelu”.

Zenon nagle pojął, że dzieje się coś bardzo niedobrego, może straszego. Ale co? Że Łukaszenko dostał donos o picu w hotelu i o śpiewach patriotycznych piosenek i kolęd, to nic specjalnego. Zdarza się. Powinienem być być ostrożniejszy. Oczywiście obstawia mnie nawet tutaj. Acha, ten sekretarz ambasady. Po co go zapraszałem? Ale co on mówi o moim medalu?

„Nie rozumiem was — powiedział obłany zimnym potem i zbolały. — Właśnie wczoraj towarzyszył ambasador poinformował mnie, że dostałem złoty medal. I gratulował mi osobiście towarzyszył pierwszy sekretarz — podniósł głos na to wspomnienie — dziś właśnie towarzysze radzieccy wręczą mi ten medal. Potem będzie bal”.

„Towarzysze radzieccy zawiadomili nas właśnie o zdjęciu wazowej rzeźby z wystawy — uciął Łukaszenko. — Towarzysz Edward zna tę sprawę. Macie się natychmiast spakować i wracać do kraju. Zgłosicie się do mnie w gmachu o dziewiątej wieczorem. To jest polecenie partyjne”. Zakończył. Stuknęło.

„Co tam rozrabiasz? — powiedziała sennym głosem Marta. — Nie dasz człowiekowi pospać”. Wstała goła i poszła do łazienki.

„Słuchaj — powiedział Zenon — nie masz czegoś na ból głowy?... Coś się stało...”.

„Mnie też się stało. Też mi łeb pęka. Zaraz ci przyniosę jakiś proszek, tylko się wysikam”, zawołała z łazienki.

Siedział zdruzgotany. Znał głos Łukaszenki. Nie było wątpliwości: to był on. I to co powiedział było jednoznaczne. Ale może, może to jednak jakiś potworny żart, idiotyczne zagranie? Może Łukaszenkę już zdjęli i w ten sposób się odgrywa? Zabiła w nim nadzieja. Sięgnął po słuchawkę. Wykręcił ambasadę PRL. Długo czekał na zgłoszenie się telefonistki.

„Z ambasadorem”, powiedział krótko i władczo.

„A kto mówi?”

Przedstawił się.

„Sprawdzę, czy jest”, usłyszał. W mowie sekretarek to znaczy: „dowiem się, czy chce z tobą rozmawiać”.

„Towarzysza ambasadora nie ma — powiedziała po chwili. — I nie będzie go już cały dzień”. Rozłączyła się.

Zenon został ze słuchawką w dłoni. Myślał gorączkowo. Wykręcił międzynarodową w Moskwie. Podał swój numer wywoławczy i numer sekretariatu Gierka w Warszawie. Dostał zaraz połączenie. Przedstawił się dyżurnemu sekretarzowi.

„Dzwonię z Moskwy — powiedział — rozmawiałem wczoraj z towarzyszem pierwszym sekretarzem, ale zapomniałem o jednej sprawie i chciałbym to uzupełnić. Czy możecie mnie połączyć?” „Sprawdzę, czy jest u siebie”. Przecież wiedział, czy Gierek jest u siebie czy nie! Musiał natomiast zapytać, czy chce rozmawiać.

Zenon czekał długo, słuchając buczenia i trzasków w słuchawce. Oczywiście rozmowa była nagrywana i tu, w Moskwie, i tam, w Warszawie. I pewnie nie przez jeden magnetofon.

„Szeffa nie ma — usłyszał. — Jak coś potrzebujecie, to porozumiecie się z towarzyszem Łukaszenką. Do widzenia”.

Więc Łukaszenko kontroluje grę. Katastrofa. Klęska. Dół.

Marta, naga i rozczochrana, wróciła z łazienki. Niosła w ręce szklankę z wodą, a w drugiej garść białych tabletek.

„Weź to — powiedziała — i wracaj do łóżka. Dziś nasz wielki dzień. Trzeba go dobrze zacząć”. Wsunęła się pod kołdrę. Machinalnie łyknęła po kolei cztery czy pięć pastylek, popijając wstrętną kranówką.

„No chodź — zamruczała Marta — no chodź. Nie siedź tak. Co to był za telefon? Odłóż wreszcie tę słuchawkę”.

Zobaczył, że ciągle trzyma słuchawkę w dłoni. Wydobywał się z niej monotony pisk. „Jak szcury”, pomyślał. Odłożył. Siedział nadal nagi, nieruchomy, wpatrując się w czarny telefon. „Jak bryła węgla”, pomyślał. Wszystko bez sensu. Czuł się straszliwie nieszczęśliwy i pokrzywdzony.

„Ten telefon? — powiedział. — Czarny. Czarnego koloru. Jak węgiel. Ja dobrze rzeźbiłem w węglu. Naprawdę dobrze. Ten telefon był z Warszawy”.

„No to co z tego, że z Warszawy? Chodź...”.

Przysunęła się do niego. Dotknęła go dłonią. Nie mógł jej powiedzieć. Jak jej to powiedzieć? Musiał jej to powiedzieć. Ale jak?

„Każą mi wracać do Warszawy”, powiedział wreszcie.

„No pewnie, że wrócimy. Jutro. Po balu. Z twoim medalem”. Podpełzała do niego na brzuchu. Zaczęła go pieścić.

„Zdjęli mój pomnik z wystawy”, powiedział Zenon z rozpaczą w głosie.

Znieruchomiła. Przekręciła się gwałtownie na wznak, aż zakolebały się jej pełne piersi.

„Coś bredzisz — powiedziała. — Schlałeś się i bredzisz”.

„Mówię jak jest — powiedział. — Musimy się pakować”.

Siadła obok niego na łóżku.

„Powiedz po kolei”, powiedziała twardo.

„Łukaszkenko zadzwonił z Warszawy, że oni mi tu zdjeli rzeźbę z wystawy i że mam się do niego zgłosić jeszcze dziś wieczorem w gmachu. Ani ambasador, ani Gierek nie chcą ze mną gadać. A dziś jest wernisaż. Dziś jest rozdanie nagród. Dziś jest bal. Dziś... Masz suknię od Pierre Cardin. Ja mam smoking od Diora. Muszkę z London Fogg. Ty masz buty od Bally. Ja mam buty od Dextera. Po cośmy to brali? Miałem zostać sekretarzem. Miałem zostać prezesem. Miałem być laureatem... Miałem być...”. Chlipał. Pociągał nosem.

„Coś narozrabiałeś — powiedziała krótko. — Nie trzeba było tych dziwek wczoraj sprowadzać. Zawsze za dużo ci pozwalam. Nie trzeba było bawić się w artystę...”.

„Ja jestem artysta!”

„Byłeś”.

„To nie to — powiedział Zenon, wciąż chlipiąc. — To gorzej. Ja znam życie. Ja znam układy. To jest jakiś duży numer”.

„Jaki?”

„Nie wiem jaki...”.

„No to się dowiedz, do cholery, a nie siedź tak jak pacan i się nie maż!”

Wstała i poszła do łazienki. Na jej ciele były jeszcze białe plamy od kostiumu kąpielowego. Opalali się w lipcu w Picundzie nad Morzem Czarnym. Nie było tam solarium. Sowiecki kurort.

Siedział tak jeszcze długą chwilę z ohydny smakiem w ustach, z tego przepicia, z tego telefonu, z tej wody, którą popił tabletki. Nic nie mógł wymyślić. Po chwili zadzwonił do Aerołotu. Była rezerwacja. Na lot o 7-ej wieczorem. Przylot do Warszawy o 7.05. Dwie godziny lotu. Dwie godziny różnicy czasu.

Połączył się ze swoją sekretarką w Warszawie. Kazał sobie podstawić samochód na Okęcie o 7-ej wieczorem. Nie zdziwiła się, że wraca wcześniej. Ale powiedziała, że zwolniła już kierowcę.

„No to weź jakikolwiek wóz od dyspozytora, albo i od prezesa”, powiedział.

„Towarzysza prezesa nie ma w gmachu, a nie sądzę, żeby mi dyspozytor wydał teraz jakiś wóz”.

„Co to znaczy « teraz »?”, wściekł się Zenon.

„Teraz? No, dzisiaj... Sylwester... Wszyscy się na bale wybierają...”.

„Co to ma wspólnego z wozem!?”

„Niech towarzysz na mnie nie krzyczy, ja nic nie wiem... Robię, co mi kazali...”

Zrozumiał. Wolno położył słuchawkę. Jak to szybko idzie, pomyślał. Co ja zrobię? I kto mi tę świnię podłożył? Co mi wyciągnęli? Co?

19.

Pakowali się oboje milcząc, nie patrząc na siebie. Mieli dużo czasu do wyjazdu na lotnisko.

„Przecież nie będziemy cały dzień siedzieć w hotelu — powiedziała w pewnej chwili Marta. — Trzeba coś zjeść, przejść się. Wiesz co, może ci się to wszystko śniło? Pojedziemy na wystawę. Zobaczymy jak jest. Może to tylko jakieś nieporozumienie”.

„Był telefon — powiedział głucho. — Był”.

„Co ci szkodzi sprawdzić? Może ci robią tylko kawę?”

„Znam ja takie kawy. — I dodał. — Sam je nie raz robiłem”.

„Wiesz co? Pozbieraj się, zadzwoń do ambasady po wóz. Pojedziemy w Moskwę. I o tę wystawę zawadzimy”.

Zadzwoił do ambasady.

Nie czekał długo, aby usłyszeć, że wszystkie samochody są akurat rozdysponowane. Docierało do niego powoli, że już zaczął się upadek, niełaska, odstawka. Już zjeżdża po jakiejś śliskiej pochyłości, obsuwa się, zaraz polecą na dno.

Zadzwoił telefon. Szef recepcji, niewątpliwie oficer KGB, informował, że rezerwacja kończy się im dzisiaj i do dwunastej muszą opuścić pokój.

„Miałem rezerwację do drugiego stycznia”, powiedział Zenon.

„Nie widzę — usłyszał. — Ja mam do dzisiaj”.

Powiedział to Marcie. Spojrzała na niego wściekła i nie odezwała się słowem. Poszli na śniadanie. Zamówili kawę, wódkę i kefir. Siedzieli ponuro. Głowa mu pękała. Postanowili, że rzeczy zostawią w hotelu w przechowalni bagażu i pojedą na wystawę taksówką, a potem wrócą po rzeczy i zaraz na lotnisko.

Wychodząc z restauracji natknęli się na grupkę młodych współpracowników Zenona. Byli wyraźnie spanikowani.

„Panie profesorze — zapytał jeden z mężczyzn — co się dzieje? Ruscy nas wyrzucają z hotelu. Każą natychmiast wracać

do Warszawy. Przecież dzisiaj jest wernisaż, rozdanie nagród i bal”.

„Myślę, że musicie się zastosować do poleceń towarzyszy radzieckich. Niestety nastąpiło jakieś nieporozumienie. Właśnie je wyjaśniam — powiedział Zenon swobodnie wymuszonym głosem. — Ja też zaraz lecę do Warszawy rozplątać całą sprawę. Skontaktujcie się ze mną po nowym roku”.

„I tyle? — zapytał brodaty asystent. — Mamy się zastosować? A co z pomnikiem? Co z naszą rzeźbą?”

Nie będzie żadnego pomnika, pomyślał Zenon. Powiedział: „Wszystko wyjaśnię w Warszawie. Tutaj nie ma z kim gadać. Coś się kacapom poprzekrecało — kupował sympatię młodych. — Na wiosnę rozpoczniemy montaż pomnika na Placu Defilad. Wracajcie spokojnie do domu. Wicie, tutaj nic nie zdziałyamy. Nie jesteście u siebie”.

„A w Warszawie jesteście u siebie?”, zapytał asystent.

Inteligentni są ci młodzi, pomyślał Zenon odkrywco. Szybcy. Aż zazdrość. Rozumieją od razu to, co ja muszę główkować latami.

„Ja wszystko załatwię — powiedział stanowczo. — A pobalować możecie w pociągu. Zaraz, zaczekajcie”. Wrócił do restauracji i kupił od kelnera trzy butelki ormiańskiego szampana. Wręczył je brodaczowi. „Wypijcie o północy za nasz pomnik”.

Chwilę wszyscy stali i milczeli.

„Do widzenia w Warszawie — powiedziała jakoś rzewnie garbuska. — Tam może wyjdzie nam lepiej”.

Bezczelna, pomyślał Zenon, ale warto z nią jeszcze kiedyś spróbować. Nikt nie zrozumiał aluzji dziewczyny.

„Naturalnie, że w Warszawie pójdzie nam lepiej. Po prostu będzie nam nadal szło dobrze — powiedział Zenon do całej grupy. — No to do widzenia”. Podał im kolejno rękę. Znów stali milcząc.

„Ruszmy się wreszcie”, odezwała się Marta. Wszystkim było strasznie głupio. Rozeszli się.

20.

Zenon z Martą znieśli walizki do recepcji. Wymeldowali się. Oddali rzeczy do przechowalni. Poszli do kolejki do taksówek. Mróz był ostry. Wisiały niskie chmury. Czekali długo. Kazali się wieźć na wystawę. Mieli jeszcze dużo rubli zachowanych na

bal sylwestrowy i bankietowanie po nagrodzie. Marta kazała się zatrzymać przed jakimś sklepem jubilerskim.

„Nie wysiadaj. Zaraz wrócę”, powiedziała i trzasnęła drzwiami. Po chwili wróciła z grubym złotym naszyjnikiem na kołnierzu futra. Błysnęła złotym zegarkiem na ręce, zapiętym obok jej dawnego, platynowego Movado. Jak ruski żołnierz w czterdziestym piątym, pomyślał Zenon. Na palcu miała jeszcze jeden złoty pierścionek z diamentem. To zamiast mojego złotego medalu, przeleciało mu przez głowę.

Wysiedli przed pawilonem wystawowym. Sypał teraz gęsty śnieg, ale moskwiczanie, zawsze zakochani w sztuce i spragnieni wystaw, koncertów, przedstawień stali w długiej kolejce do kasy. Wystawa miała być dostępna dla publiczności już dzisiaj, zaraz po wernisażu.

Wyminieli przytupujący, dymiący parą z ust tłum i skierowali się do wejścia. Drogę zagroził im strażnik. Zenon pokazał zaproszenia na wieczorny wernisaż i tłumaczył, że jest jednym z artystów i musi coś sprawdzić przy swojej rzeźbie. Strażnik długo się zastanawiał.

„To za wcześnie. Muszę pójść do naczelnika. Zaczekajcie na zewnątrz”. Zawołał drugiego, a sam oddalił się gdzieś korytarzem. Stali na śniegu. Drzwi do pawilonu wystawowego były szklane. Za nimi hall. Znow szklane drzwi. Z nimi długi korytarz. I znow szklane drzwi — prowadzące do sal wystawowych.

Zenon przyłożył czoło do szyby i zobaczył niejasno, poprzez to potrójne szkło, swoją rzeźbę. Stała tam. Była. Z dwóch głowic wielkiego V buchał płomień. Nic się nie zmieniło!

„Patrz, Marta — powiedział — jest! Jest moja rzeźba. To naprawdę jakieś nieporozumienie. Jest tam! Stoi!”

Marta przytknęła także czoło do szyby.

„Jest! Jest!”

Śmiali się, zaczęli się klepać po ramionach, aż kurzyło śniegiem.

Zenon przykleił znow twarz do szyby. Wokół rzeźby kręcili się jacyś ludzie w szarych mundurach. I nagle struchlał. Płomień buchający ze szczytów V zaczęły się zmniejszać, zniżyć i zgasły zupełnie. Z czołem wtopionym w zimną szybę Zenon widział, jak ludzie w mundurach majstrują coś przy jego rzeźbie. Rozdzielili się teraz na dwie grupy, po kilku z każdej strony, schwycili ramiona Victorii i zaczęli je ciągnąć, odginać, łamać w dolnym spojeniu, chwierutać na boki, szarpać. Jedno już padło! Zenon nie słyszał łoskotu, ale musiało paść z hukiem. To było jak niemy film. Teraz wszyscy funkcjonariusze skupili się przy drugim ramie-

niu, które stało jak kikut i nie chciało się poddać, uwiesili się na nim, zaczęli ciągnąć, szarpać. Padło!

Zenon uderzył głową w szybę. Chwytał za klamkę i z jakimś nieartykułowanym bulgotem w krtani rzucił się do środka, odepchnął strażnika, przebiegł hall, przedostał się przez drugie drzwi i zaczął biec długim korytarzem ku swojej rzeźbie. Wołał:

„Nie! Nie! Nie pozwalam! Łobuzy! Czerwone świni! Mój pomnik... Moje dzieło... Nie! Nie!”

Odepchnięty strażnik zatoczył się na ścianę, ale natychmiast się pozbierał i zaczął gonić Zenona. Marta wdarła się też do hallu i rzuciła się za nim. Strażnik dogonił Zenona, podłożył mu nogę i powalił na ziemię. Coś krzyczał. Zbiegło się jeszcze paru.

„Huligan — usłyszał Zenon. — Taki syn!” I nagle w głowie wybuchł mu granat — otrzymał potężnego kopa w czaszkę. Drugiego w brzuch. I znów w zęby. Odruchowo skulił się i próbował zasłonić twarz rękami. Nie bronił się. Za to Marta uwiesiła się na strażniku. Niepotrzebnie. Już było po wszystkim. Zatrzymanie przestępcy, wyrok, kara. Wykonali swoją robotę szybko i sprawnie. Stali teraz kręgiem nad Zenonem, lekko dysząc.

Powoli zaczął się zbierać z podłogi. Wstrząsały nim nerwowe dreszcze. Z ust kapała mu krew. Marta szlochając przypadła do niego.

„Chodź, chodź, zberz się, uciekajmy stąd”.

Klęknął przy jej pomocy. Siąkał nosem. Mełł w ustach pokruszone zęby. Spojrzał, z trudem rozklejając podbite oko, ku pomnikowi. Wszystkie jego części — oba ramiona Victorii i ludzkie figury — leżały połamane i rozrzucone. Ludzie podchodzili, łamali je na mniejsze kawałki, brali naręcza złomu, żelaznych i gipsowych szczap i drzazg, wrzucali je na mały wózek. Zapakowali go i wyszli z nim. W tle podium, na którym stała jeszcze chwilę temu rzeźba, była tylko jasno podświetlona wielka makieta warszawskiego pałacu kultury.

„Pójdziecie ze mną”, powiedział jeden ze strażników, podnosząc Zenona za kołnierz i równocześnie wykręcając mu do tyłu prawe ramię.

„On jest pijany! Zostawcie go! — mówiła w pośpiechu Marta. — To pijak. I widzisz, jakiegoś mi wstydu narobił. Zachciało mu się na wystawę. On, widzicie, towarzyszu, bardzo kocha rzeźby. On był kiedyś rzeźbiarzem. Zanim się nie rozpił. Zachciało mu się. Bez biletu. I bez kolejki. Ja już się nim zajmę, kochaneńki, dozwolcie...”. Starła się bezskutecznie wyszarpnąć Zenona strażnikowi. Ten trzymał silnie i o czymś rozmyślał. Inni

się rozeszli. Strażnik nie odpowiedział Marcie ani słowem i ruszył z Zenonem z powrotem ku wyjściu. „Niech go pan puści, pusti towarzyszc lubiezny tego pijaka. Eto pijak, ale to nie zły czelawiek. Eto nie huligan. Niet! To nie żaden element. Ja już go przypilnuję...”. Marta mieszała słowa polskie z rosyjskimi. Zenon nie mówił nic. Był ogłuszony, obolały i bezwolny. Strażnik, nadal nic nie mówiąc, skręcił z korytarza w jakiś boczny zaułek. Minęli jakieś wahadłowe drzwi. Strażnik tam się zatrzymał.

„Teraz trzeba się spisać — powiedział. — Trzeba wezwać milicję, jakby mało mieli pijaków do zbierania już przed nowym rokiem. A taki rozbija ludzi. Pcha się bez biletu. A bilety wcale niedrogie. I co, wy inostrancy? A nieładnie, nieładnie. Skąd wy?”

„Z Polski...”, odpowiedziała zawstydzona Marta.

„Z Polski. Polaki. No tak. Wiecznie z wami kłopot. Tak, wy się będziecie długo tłumaczyć”. Mówił to jakoś bez przekonania i trzymając Zenona za wykręcone ramię nie ruszał się z miejsca. Marta pojęła wreszcie. Sięgnęła do świeżo kupionego naszyjnika, którego jeszcze nawet nie schowała pod futrem. Mocowała się chwilę z zatraskiem na karku. Odpięła. Zamknęła w dłoni.

„Macie rację, towarzyszu — powiedziała do strażnika — to straszne, że taki pijak wdziera się na wystawę, porządek zakłóca, na zdenerwowanie was naraża i jestem wam bardzo wdzięczna, żeście go w porę zatrzymali. Jeszcze by do galerii wpadł i jakąś rzeźbę uszkodził. Ale ja nie chcę, żebyście o nim źle myśleli, ani o mnie. My spokojni ludzie. I partyjni. Jemu się to jeszcze nigdy nie zdarzyło. Już mu wybaczcie i źle nas nie wspominajcie. My zaraz wyjedziemy i ślad po nas nie pozostanie. Mówiąc to rozginała powoli tę dłoń strażnika, którą trzymał Zenona za kołnierz, wsunęła mu w dłoń naszyjnik i ponownie zamknęła mu palce, ale już bez kołnierza futra Zenona.

Strażnik w ogóle nie dał po sobie nic poznać. Wciąż trzymał Zenona za wykręconą rękę. Powiedział tonem oficjalnym:

„U nas nie wolno zakłócać porządku. On się musi poprawić. On chciał wejść bez biletu i bez kolejki. A tu ludzie radzieccy czekają godzinami na mrozie”. Mówiąc to włożył rękę z naszyjnikiem do kieszeni. Ale nadal drugą trzymał Zenona.

Marta wtedy zdjęła szybko złoty zegarek, także dopiero co kupiony, i wetknęła go w drugą dłoń strażnika, sprawiając, że puścił wreszcie wykręconą rękę Zenona.

Strażnik schował rękę do kieszeni. Popatrzył na Zenona i Martę. Pokiwał głową.

„Tak straszyć ludzi. Nieładnie. Ja myślałem, że to huligan, może wróg nawet. A to pijaczyna. To już lepiej wy go pilnujcie. Ja mam ważniejsze sprawy”.

W tej chwili w korytarzu ukazał się pierwszy strażnik, który wziął od nich zaproszenia na wernisaż i kazał czekać. Zbliżył się i popatrzył ze zdziwieniem na pokrwawioną twarz Zenona. Wyciągnął w jego stronę zaproszenia.

„Naczelnik mówi, że nie ma waszej rzeźby na wystawie. Nakłamaliście. Nic tu po was. Wynoście się. I to już”.

Zenon milczał.

„Tak, tak — powiedziała szybko Marta. — My już nic nie chcemy, my już właśnie wychodzimy”. Wzięła Zenona mocno pod ramię. Pociągnęła. Poddał się bezwolnie. Szybkim krokiem poszli do wyjścia. Zenon nawet się nie obejrzał.

21.

Zatkał ich podmuch wichru i zdławił tuman śniegu. Marta puściła ramię Zenona, poszła parę metrów pod ten wiatr i śnieg. Natknęła się na uliczną latarnię. Objęła ją. A potem przekreśliła się i oparła się o nią plecami. Rozpięła futro, ukazując głęboki dekolt bordowej sukni od Niny Ricci. Zaczęła histerycznie szlochać. Zenon dowlóknął się do niej i próbował ją niezgrabnie zapinać.

Ludzie z kolejki do kasy patrzyli uważnie i obojętnie.

Kolejka do taksówek była długa. Wozy podjeżdżały rzadko. Zenon i Marta zmarzli. Śnieg oblepiał im twarze. Sypał się za podniesione kołnierze. Nic do siebie nie mówili.

Nie zwolnili taksówki przed hotelem. Marta w niej została, żeby ją trzymać. Zenon poszedł do toalety i obmył rozbitą twarz. Długo płukał usta. Stracił dwa przednie zęby. Bolało go to potwornie. A do tego ciągle skacowana głowa. Znów wziął pięć proszków naraz. Popił chlorowaną, rdzawą cieczą z kranu. Wytarł twarz chustką do nosa. Spojrzał w lustro. Patrzył na niego zaszczuty, wystraszony, posiniaczony pijacek.

Wytaszczył walizki. Długo jechali, wśród zawiei, do Szerebietiewa. Długo czekali w śmierdzącej trutką na szczury poczekalni. Samolot był spóźniony z powodu pogody. Wreszcie około ósmej odleciał.

Ładowali na Okęciu w zadymce. Przeszli przez kontrolę paszportową bez problemów, ale na cle ich zatrzymali i kazali

otwierać walizki. Zenon wymachiwał dyplomatycznym paszportem, ale to nie zdało się na nic. Wygarnęli im wszystkie zakupy z Bieriozki. Kazali płacić cło. Wzięli na rewizję osobistą. Do naga. Zdejmując pokrwawioną na piersi koszulę, Zenon rozmyślał o skrupulatności i dokładności Łukaszenki: nie zaniedbał nawet nadać jego nazwiska na granicę. Oczywiście już jutro zabiorą mu stały, dyplomatyczny paszport, to samo zrobią ze służbowym Marty. Kanał.

Nic do siebie nie mówili. Znów długo czekali w kolejce do taksówek. Było już mocno po dziewiątej — dwie godziny wcześniej niż w Moskwie. Tam, o siódmej wieczorem, gdy siedzieli na lotnisku, rozdano medale na wystawie, tu już był spóźniony do Łukaszenki na dziewiątą. Pojechali prosto do KC. Taksówkarz musiał się wcisnąć w sznur pojazdów kierujących się pod gmach. O dziesiątej rozpoczął się wielki bal sylwestrowy w KC. Dygnitarze-dygnitarze, dygnitarze-artyści, dygnitarze-naukowcy, dygnitarze-dziennikarze podjeżdżali służbowymi wozami i taksówkami. Pary spieszyły do wejścia. Zenon wysiadł na podjeździe. Marta z bagażami pojechała do domu. W noc sylwestrową nietrudno o taksówkę. Zenon miał sam wrócić.

Wmieszał się w tłumek zmierzających do bocznego wejścia na dziedzińcu. Postawił kołnierz i nacisnął futrzaną czapkę na oczy. Podniósł szalik zasłaniając sobie usta. Mimo to ktoś do niego zawołał:

„Zenon, ty nie w Moskwie?”

Pokiwał przyjaźnie ręką: „Wolę Warszawę!”. Wyszło to: „wolę Warszawę” — sepleniał z powodu wybitych zębów. Zabolęła go szczeka i wargi. W wejściu dwóch wartowników w cywilu sprawdzało zaproszenia. Zenon wyciągnął legitymację partyjną.

Jeden z wartowników zagroził mu drogę. — „A zaproszenie towarzysza?”

„Ja nie na bal — powiedział półgłosem, starając się nie zwracać uwagi przechodzących. — Ja tylko na chwileckę”. Sepleniał przez wybite zęby.

„Dziś tylko na bal — powiedział wartownik. — Nikt nie urzęduje”.

„Ale ja mam prawo wejść — zdenerwował się Zenon. — Nikt mnie tu nigdy nie zatsymywał. Jestem członkiem komitetu centralnego”.

„Widzę — powiedział tamten, patrząc w legitymację Zenona. — A do kogo?”

„Co was obchodzi, do kogo. Wystarczy legitymacja!”

Zenon chciał przejść, ale tamten naparł na niego ciałem.

„Chwileczkę, towarzyszu, spokojnie. Legitymacja dziś nie wystarczy. Trzeba mieć zaproszenie. Ma towarzysz zaproszenie, czy nie?”

„Nie mam”, wyznał ze wstydem Zenon.

Zatamowali ruch przechodzących. Zenon pochwycił zdziwione spojrzenia, poznał wiele twarzy. Zrobiło mu się gorąco. Usłyszał:

„Proszę się przesuwac, bo na dworze zimno! Damy nie mają ciepłych majtek!” I śmiech.

Popchnął strażnika. Powiedział półgłosem:

„Nie wprowadzajcie tu towarzyszu nowych porządków. Jako członek kierownictwa mogę wejść do gmachu kiedy chcę i tyle. Zresztą jestem umówiony z sekretarzem Łukasenką”.

Tamten go nie puścił. Powiedział:

„Właśnie. Ja tylko pilnuję porządku, towarzyszu. Trzeba było od razu mówić, do kogo idziecie”.

„Co to ma do zeczy!?”

„Przechodzić! Nie tamować ruchu!”, usłyszał z tyłu.

Wartownik powiedział donośnym głosem:

„Zaczekajcie towarzyszu tu z boku i nie tamujcie drogi. Jak macie sprawę do towarzysza sekretarza Łukaszenki, to zadzwonicie do niego. Jak wam każe dać przepustkę, to pójdziecie”.

Zenon zrezygnował. Musiała to być zaplanowana szykana. Ze spuszczoną głową podszedł do małego biurka, przy którym siedział trzeci wartownik. Spod kłapy marynarki wystawał mu pistolet.

„Mogę skorzystać z telefonu?”, zapytał.

„Telefony są tam na lewo w hallu”, usłyszał.

Nie protestując już poszedł do kabinki z telefonem. Wykręcił znajomy numer. Przedstawił się sekretarce. Powiedziała, że porozumie się z szefem i jeśli szef go oczekuje, to ona już zadzwoni do wartownika, aby wystawił Zenonowi przepustkę. Położył słuchawkę. Siadł na krześle. Spuścił głowę. Zasłonił się szalikiem. Nie chciał być rozpoznawany. Wstydził się. Bolała go twarz, zęby, cała głowa. Czuł, że się ciągle gdzieś obsuwa, leci w dół, wsysa go bagno, gówno, gnój.

Usłyszał, jak na biurku wartownika dzwoni telefon. Wartownik coś odpowiadał. Po chwili kiwnął na niego. Zenon posłusznie podniósł się i podszedł.

„To wy jesteście z telewizji?”

„Ja”, odpowiedział pokornie.

„Dostaniecie przepustkę. Legitymację proszę”.

„Nie potsebuję psepustki, jestem członkiem KC”, uparł się jeszcze raz Zenon.

„Potrzebujecie, potrzebujecie, towarzyszu. No, dajcie tę legitymację. Widzicie, tyle ludzi na bal się pcha, to i sprawdzać trzeba lepiej — powiedział pojednawczym tonem. — „A nuż się ktoś obcy do gmachu zapłącze?”

Może to istotnie było nieporozumienie?, pomyślał Zenon.

Położył czerwoną legitymację na biurku. Tamten wypisał przepustkę.

„No widzicie? — powiedział. — Tylko nie zapomnijcie podstemplować na górze. Możecie iść. Numer znacie?”

„Znam”, powiedział Zenon.

Podniósł się, poszedł znów do drzwi, w których sprawdzano zaproszenia. Znów musiał z wymuszonym uśmiechem odpowiedzieć na jakieś pozdrowienia.

„A gdzie Marta?”, usłyszał.

„Bardzo ciężko chora”, wybełkotał.

Pokazał przepustkę wraz z legitymacją wartownikowi. Tamten przepuścił go bez słowa. Zenon szedł chwilę w strumieniu ludzi do szatni. Wyłaniały się stamtąd kobiety w długich błyszczących sukniach z tafty i gazy, wydekoltowane, z gołymi ramionami, z włosami spryskanymi złotym lakierem, mężczyźni w smokingach i muszkach. Wszyscy byli uśmiechnięci, podekscytowani, niektórzy już na rauszu. Zenon ominął szatnię i skierował się do windy. Od stolika wstał wartownik.

„Bal jest na pierwszym piętrze, tymi schodami, towarzyszu — powiedział uprzejmie. — A szatnia na parterze”.

„Ja na drugie”, powiedział Zenon.

„Na drugie?”, zdziwił się tamten.

„Mam psepustkę”, powiedział zmęczonym głosem Zenon.

„Pokażcie”.

Pokazał. Tamten obejrzał. Oddał.

Zenon sprowadził windę. Wsiadł. Wjechał na górę. Po otwarciu się drzwi windy natknął się znów na wartownika.

„Zabłądziliście — powiedział tamten dobrodusznie. — Nie wy pierwsi. Bal jest piętro niżej”.

„Ja nie na bal — powiedział Zenon. — Do towarzysza Łukaszenki”. Upokarzało go każde słowo, które wydobywał z bolących ust. Upokarzało go to ciągłe legitymowanie się w gmachu, po którym poruszał się swobodnie od wielu lat. Niepytany pokazał przepustkę. Tamten obejrzał ją uważnie. Oddał bez słowa. Wrócił do swojego stolika.

Zenon szedł długim korytarzem wyściełanym zielonym grubym dywanem. Mijał jednakowe ciężkie dębowe drzwi w masywnych futrynach. Zapukał do kolejnych drzwi i nie czekając na zaproszenie wszedł.

Przy biurku siedziała znajoma sekretarka i malowała sobie usta. Była w jaskrawo niebieskiej sukni balowej. Rzuciła na niego okiem i nie przestając się malować powiedziała:

„Spóźniliście się. Szef musiał już pójść na rozpoczęcie balu. Ale zapowiedział, że wróci, żeby się z wami rozmówić”.

„Samolot był spóźniony. Nie moja wina. Pseprasam”. Powiedziała to zasłaniając usta szalikiem.

Nic nie odpowiedziała. Malowała się pracowicie. Niewątpliwie także wybierała się na Sylwestra. Teraz zaczęła się skrapiać perfumami i dmuchać dezodorantem pod owłosione pachy. Nie zwracała na niego zupełnie uwagi. Po chwili zabrała się do paznokci.

Była cisza.

Zenon usiadł. Nie zdjął ciągle futra i szalika. Było mu gorąco. Zaczął go morzyć sen. Gdy kimnął się raz i drugi, wstał i zdjął futro, powiesił je na wieszaku, zachował jednak szalik, zasłaniając szczerbate zęby i rozranione usta.

Sekretarka nie patrzyła na niego. W pewnym momencie wstała i podeszła do głośnika wiszącego na ścianie. Wspięła się na palce i przekreśliła gałkę.

Popłynęły dźwięki poloneza Ogińskiego.

„Zaczęło się — powiedziała sekretarka z wyrzutem. — A ja tu siedzę jak głupia”. Spojrzała złym okiem na Zenona.

Nie zareagował. Słuchał głośnej muzyki i pomyślał, że w Moskwie akurat mija północ. Wszyscy składają sobie życzenia, piją na umór, całują się, gratulują sobie nagród na wystawie. A on nie dostał medalu. Dostał za to w mordę od strażnika. Tam laureaci świętują, leje się strumieniami szampan, lecą confetti i serpentyny, a on tu siedzi jak petent, wezwany na dywanik, albo jak złoczyńca czekający na przesłuchanie u prokuratora. Nie ma wstępu do sali balowej. Siedzi w poczekalni. I tylko słucha poloneza. W pierwszej parze Gierek z Jaroszewiczową. W drugiej Jaroszewicz z Gierkową. Kucharki. Łukaszenko chyba w dziewiątej, bo najpierw tańczy biuro polityczne, potem sekretariat, a dalej kierownicy wydziałów KC, potem ministrowie, potem dopiero wiceministrowie, jego miejsce mogłoby być chyba w czterdziestej, może pięćdziesiątej parze, a planował skok do pierwszej dziesiątki. Potem posłowie na sejm, zapewne jest i ambasador sowiecki, potem dziennikarze, aktorzy, naukowcy, brzydkie stare żony i piękne młode kochanki, cały dwór królewski Edwarda Pierwszego.

Po raz pierwszy w swojej długiej karierze partyjnej poczuł się wyobcowany, odcięty. Och, jakże zazdrościł teraz tym ludziom, tańczącym tam w wielkiej sali, wśród kryształowych świeczników i świec w kandelabrach. Jakże pragnął być z nimi. Tam. Ale nie ma tam wstępu. Fora ze dwóra. Wypadł z układu. Och, jak okropnie jest skrzywdzony i nieszczęśliwy. I, och, jak okropnie żal.

Polonez przebrzmiał. Z głośnika sączył się teraz nieartykułowany gwar sali. Zasiadano zapewne do kolacji.

„Stracę przez pana kawior! — powiedziała nagle sekretarka. — Kurwa mać, że też akurat musiało paść na mnie! Towarzysz to musi być pechowy. I ludziom przynosi pecha”.

Nie odpowiedział. Czuł się winny. Ona skończyła polerować paznokcie. Siedziała nieruchoma, chmurna i zła. Czekali oboje. Wrogo i osobno. Po chwili wstała i zamknęła głośnik. Włączyła za to radio. Popłynęła dobra, ostra rockowa muzyka z jakiejś zagranicznej stacji.

Po około godzinie drzwi otworzyły się nagle i wszedł Łukaszenko. Był w smokingu, z czerwoną muszką i czerwonym szalem na wydatnym brzuchu. Zatrzymał się na sekundę, ale nie spojrzął na Zenona i poszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi. Zenon znał dobrze — i sam praktykował — ten dygnitarski sposób kontaktu-niekontaktu, widzenia ale nie patrzenia, zauważania ale nie dawania do poznania, czy się kogoś zauważyło. Więc można zauważyć, nie usłyszeć. Z otoczenia w kuluarach zjazdu czy konferencji, z mijanych na korytarzu osób można sobie wybrać kogoś, kogo się chce wyróżnić zauważeniem i można całkowicie zlekceważyć. Można się wyizolować. Można udawać zamyslenie, zapracowanie, skupienie na jakimś super ważnym temacie. Można samemu być ważnym.

Po chwili na biurku sekretarki zaczęło mrugać światełko. Podniosła słuchawkę. Pokiwała głową. Coś wymruczała.

„Towarzysz sekretarz was wzywa”, powiedziała.

Zenon podniósł się ociężale i poszedł do drzwi gabinetu. Zastukał i otworzył.

Łukaszenko stał za biurkiem i nadal na niego nie patrzył. Mówił do mikrofonu: „Możecie już iść na bal, towarzysko, Niech tylko w sekretariacie przy telefonie będzie dyżurny”. Usiadł za biurkiem. Chwilę milczał. Nadal nie patrzył. Wreszcie powiedział bezosobowo:

„Siadajcie”.

Nadal nie patrząc na Zenona, wskazał mu fotel w kącie obszernego gabinetu.

Zenon usiadł, rozejrzył się. Więc to tu chciałem wejść, pomysłał. Ten gabinet chciałem objąć. Znacznie gorszy niż mój w telewizji. Jeszcze raz rzucił fachowo okiem po meblach, lampach, zasłonach. Bez gustu i bidnie. Na półce stało popiersie Łukaszenki w węglu, wyrzeźbione przez niego, Zenona. Znał zresztą ten gabinet dobrze. Łukaszenko był jego bezpośrednim zwierzchnikiem i nadzorcą w KC, więc bywał u niego często. Ale to nie wystrój tego gabinetu go pociągał, ale władza, która była tu sprawowana.

Łukaszence się najwyraźniej nie spieszyło. Siadł za biurkiem i zapalił. Zaciągnął się. Potem wstał i przeszedł całą długość gabinetu, aż do stolika w rogu, i usiadł w głębokim fotelu naprzeciwko Zenona. Założył nogę na nogę. Znow się zaciągnął. Dopiero wtedy spojrział.

Zenon zobaczył w jego oczach satysfakcję i pogardę. Brutalną siłę i bezlitosny wyrok. Łukaszenko chwilę patrzył na Zenona, tak jak patrzy się na przedmiot albo na robaka. Milczał ciągle. Potem znow jakby wyłączył ostrość widzenia, spuścił oczy. Pociągnął papierosa.

„Rozwalacie mi bal — powiedział wreszcie. — Tam na mnie czekają, więc będę się streszczał. Sprawa jest taka...”. Zrobił pauzę, potem mówił dalej obojętnym tonem: „Towarzysze radzieccy zwrócili się do nas z prośbą o zgodę na zdjęcie waszej rzeźby z wystawy — w jego głosie brzmiała teraz ironia. — Przedstawili nieodpartą argumentację. Wasza rzeźba, a raczej wasz pomnik, miał na celu zdyskredytowanie wielkiego daru narodu i państwa radzieckiego, jakim jest pałac kultury i nauki w Warszawie. Ten wiekopomny pomnik naszej braterskiej przyjaźni miał być zasłonięty i niejako wymazany z krajobrazu stolicy. To primo. Po drugie primo, w waszym projekcie znalazły się obraźliwe dla komunistów, a także ateistów, treści. Chcieliście gloryfikować AK i armię Andersa. Lansować kler. Miał tam być nawet krzyż. Po trzecie primo, chcieliście przygotować prowokację wobec towarzysza pierwszego sekretarza naszej partii, poprzez umieszczenie jego podobizny w grupie postaci na pomniku. Chcieliście go w ten sposób poniżyć w oczach społeczeństwa. Ale sam towarzysz Edward się na tym poznał. Rozszyfrował wasze matactwa. Naród jeszcze niejedną pomnik postawi towarzyszowi Gierkowi. Ale nie taki jak wasz. Nie będzie stał gdzieś z boku, w tłumie, obok AK-owca i księdza. Będzie stał na kolumnie, jak król Zygmunt. Przychyliliśmy się więc do prośby towarzyszy radzieckich — znow zakpił — i wyraziliśmy zgodę na zdjęcie waszego pomnika z wystawy w stolicy kraju rad. A żebyście nie

mieli wątpliwości, chciałbym wam powiedzieć, że sprawę przedyskutowało dziś rano biuro polityczne z udziałem sekretariatu. Podjęto decyzję o wstrzymaniu budowy pomnika ludu Warszawy. To jest, tego waszego pomnika. Bo idea wybudowania go była dobra. I wy rzuciliście na nią cień. Wy ją zmarnowaliście. Ale my wybudujemy taki pomnik. Zostanie ogłoszony nowy konkurs. W przyszłości. Może na 40-lecie. Może na 50-lecie. I to nie na rocznicę akowskiego powstania, ale wyzwolenia Warszawy przez bratnią armię radziecką. Co do was, to uznano, że zawiedliście zaufanie kierownictwa. Starałem się was obronić. Ale towarzysze byli konsekwentni. Polecono mi zdjęć was z telewizji. Choć wstawił się za wami prezes Kubalski. Będzie też rekomendacja, aby wycofać was ze składu komitetu centralnego. Oczywiście wypadacie z grupy doradców towarzysza pierwszego sekretarza”.

Znów zrobił pauzę. Było to jak ogłaszanie wyroku. I był istotnie wyrok. Partyjnej niełaski. Więcej — zagłady. Łukaszenko podjął: „Partia nie zapomni jednak o waszych przeszłych zasługach. Będziecie mogli wrócić na uczelnię. Śląsk was nie chce. Pójdziecie do Gdańska. Na prorektora ASP do spraw współpracy naukowej z zagranicą. Mówicie po niemiecku — tym zdaniem dał znać, że zna prawdziwy życiorys Zenona — dacie sobie radę. Zawdzięczacie tylko górniczej solidarności towarzysza Edwarda, że nie będziecie mieli partyjnego postępowania dyscyplinarnego za pijaństwo w hotelu w Moskwie, będąc w delegacji służbowej, oraz za pobicie radzieckiego strażnika w galerii sztuki. To wszystko”.

Wstał.

„Mogę coś powiedzieć?”, wymamlał Zenon przez wybite zęby.

„Macie jakieś zastrzeżenia? — Łukaszenko stał nad nim. Zwycięski. Kpiący. Potężny. Bezlitosny. — Gdybym was tak nie lubił, to byście wylądowali jeszcze niżej”.

„Chcę powiedzieć...”, kontynuował Zenon.

„Spieszę się na bal. Czekają na mnie — przerwał tamten. — Możecie do mnie zadzwonić, jak sobie zęby wprawicie”. Nie wytrzymał i pozwolił sobie na to brutalne kopnięcie i tak już powalnego przeciwnika. Nie było mu tego dosyć, bo pochylił się nad Zenonem i szepnął tak, aby nie zebrał tego mikrofon: „Chciałeś mnie załatwić, Zenek, co? Ja to wiem. I widzisz, kto kogo załatwił? Widzisz? A teraz spierdalaj stąd i więcej mi się w tym gmachu nie pokazuj”.

Wyszedł szybko z gabinetu, zostawiając drzwi szeroko otwarte.

Zenon podniósł się powoli, zdruzgotany i obolały.

W sekretariacie napotkał tępy wzrok dyżurnego.

„Podstemplujcie mi psepustkę”, powiedział Zenon i podał mu papierek. Wziął futro z wieszaka. Ubrał się. Nasadził na głowę czapkę. Wyszedł. Pokazał przepustkę wartownikowi przy windzie. Ale gdy zamknęły się przed nim drzwi, zamiast parteru nacisnął pierwsze piętro. Wysiadł. Dobięła go muzyka. Walc. Poszedł ku drzwiom sali konferencyjnej, zamienionej teraz na balową. Stał w drzwiach.

Ogłuszająco grała orkiestra na podwyższeniu w rogu sali. Patrzył szeroko otwartymi oczami na wirujący tłum. Rozwiane długie suknie. Połyskiwanie klap smokingów. Uśmiechnięte i pijane twarze. Pulsowanie kolorowych świateł. Falowanie serpentyń i bibułkowych dekoracji. Uderzyło go, że wiele par było w maskach. Małych i czarnych — balowych, albo karnawałowych — zwierzęcych, z ogromnymi ryjami, rogami, czy uszami, które kłapały w tańcu; były też maski potworów — ogromne nosy, zęby wampirów, przyprawione do okularów nastroszone brwi, wąsy i brody. Słyszał było tupot i szuranie po podłodze. Pary szamotały się i kolebały w pijanym beładzie, inne wirowały płynnie i gładko. To tańczył jego poprzedni świat. Jego poprzednie życie.

Na drugim końcu sali, na podium, przy wielkim stole przydialnym, zastawionym teraz półmiskami i butelkami, talerzami i kieliszkami, siedziało kierownictwo. Właśnie Edward Gierek podniósł się zza środka stołu i podał rękę jakiejś grubej kobiecie w zielonej mieniającej się sukni. Pocałował ją w rękę. Zenon poznał ją — była to żona sowieckiego ambasadora. Gierek coś mówił z uśmiechem, czego naturalnie nie było słychać w gwarze i muzyce. Zaczął schodzić z ambasadorową schodkami na parkiety. Jeszcze raz pocałował ją w rękę, objął i zaczął z nią tańczyć.

Zenon jak zahipnotyzowany ruszył w jego stronę. Zderzył się z jakąś parą. Potrafił kogoś. Szedł. W jego oczach była miłość i uwielbienie. W jego sercu straszliwy żal i rozpacz odtrącenia. Znowu zderzył się z kimś. Nadepnął na długą suknię, aż coś trzasnęło i rozległ się histeryczny krzyk kobiety. Zenon szedł jak taran. Jak automat. Ktoś coś wołał. Ludzie zaczęli rozstępować się przed nim. Nie poznawali go. Był w futrze i naciśniętej na oczy czapce. Głowę miał nisko pochyloną. Poruszał się rytmicznie i z determinacją. Już tylko kilka par dzieliło go od tańczącego z kobietą w zieleni Gierka.

Zenon nagle poczuł na ramionach cztery ciężkie ręce. Został szarpnięty, uniesiony pod łokcie i w jednej chwili znalazł się na korytarzu, a w następnej przy drzwiach wyjściowych.

„Temu towarzyszowi coś się poprzestawiało — usłyszał jakiś głos. — Chyba zabłądził po pijaku. Sprawdźcie go”. To mówił tajniak do wartownika przy wejściu. Odszedł z innymi do sali balowej.

Zenon bez słowa wyciągnął trzymaną w dłoni przepustkę. Wartownik ją obejrzał. Pokiwał głową. Otworzył drzwi. Wionęło mrozem.

„Dobranoc, towarzyszu. Bawcie się dobrze”. Zatrzasnął drzwi za Zenonem.

Poczuł na twarzy mokry śnieg. Ruszył przez dziedziniec. Z sali konferencyjnej buchała muzyka. Bał trwał.

23.

Po paru dniach, leżąc w szpitalu stomatologicznym, Zenon wyczytał w „Kronice zmian kadrowych” w jakiejś gazecie o odwołaniu go — na własną prośbę — ze stanowiska drugiego wiceprzewodniczącego telewizji, w związku z powrotem do pracy twórczej i naukowej. Marta przyniosła mu list od ministra szkolnictwa wyższego z nominacją na prorektora Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Sama też dostała wymówienie w trybie natychmiastowym z telewizji, a zarazem propozycję przejścia do radia na Wybrzeżu.

Przed kolejnym posiedzeniem plenarnym KC Zenon dostał telefon z wydziału organizacyjnego, aby przysłał zaświadczenie lekarskie o niemożności udziału w obradach. Przysłał. Plenum wycofało go ze składu KC.

Zamieszkali w Gdańsku. Sprzedali — tym razem — willę w Katowicach i zachowali dom w Warszawie, a kupili — tym razem — willę w Gdańsku. Do Warszawy wpadali rzadko. Jedli czasem kolację z Kubalskim, który nie zerwał z nimi kontaktów, obnosząc się ze swą niezależnością wobec Łukaszenki. Gierkowi Zenon przysyłał zawsze życzenia na imieniny i na Barbórkę — i zawsze dostawał podziękowanie z jego sekretariatu. Był w niełasce i odstawce, ale nie był unicestwiony.

Jako prorektor ASP do spraw kontaktów zagranicznych Zenon nie przepracowywał się. Jeździł dużo za granicę. Przyjmował zagranicznych gości. Oprawdzał ich po Stoczni i po gdańskiej starówce. Udało mu się przechwycić, do kogo innego adresowane,

zaproszenie wydziału sztuki jednego z zachodnioniemieckich uniwersytetów i wyjechali tam z Martą na cały pierwszy semestr roku akademickiego 1979/1980, na piękną, długą bawarską jeśnię. Żyli dostatnio. Nie gorzej niż poprzednio. Tylko rozmach nie ten. I władza nie ta.

Sprawa pomnika była pogrzebana i zapomniana. Biuro projektowe rozwiązane. Asystenci rozpedzeni. Zenon zastanawiał się stale, czy to istotnie towarzysze radzieccy dokonali w ostatniej chwili pryncypialnej analizy jego pomnika, czy też sprawę nadał do nich Łukaszenko, może po prostu w formie anonimu, a potem postawił Gierka przed faktem dokonanym. Zenon skłaniał się do tej drugiej teorii. Ale nie mógł być jej pewien. Niczego nie był pewien. Na naradach ministerialnych i partyjnych czuł się nieswojo. Wielu ludzi przestało go poznawać. Wielu milkło, gdy się zbliżał w kularach narad do rozmawiającej grupy. Bał się nowego kopniaka. Przeczekiwał. Znow, jak przed laty, stosował metodę niewychylania się, kadzenia mocnym i wypinania się na słabych, ale słabo mu to teraz szło — sam był słaby. Z niepokojem otwierał koperty listów. Lękał się telefonów. Żeby się jakoś zabezpieczyć, zapraszał na wódkę sekretarzy KW i naczelników wydziałów w komendzie milicji w Gdańsku. W ogóle pił więcej.

Założył przy ASP biuro projektów wewnątrz, rekrutując do jego składu paru zdolnych asystentów, w tym swoją „garbuskę”, jak ją stale nazywał w myślach, sekretarza POP na uczelni i paru protegowanych miejscowych prominentów. Jak dawniej, zyskiwał zamówienia przez partyjne znajomości i zgarniał okazały procent od każdego projektu. Ale sam teraz już w ogóle nie brał ołówka do ręki. Nie rzeźbił też w węglu. Zarzucił to.

Był na synekurze. Mógł robić pieniądze. Nie miał wpływów i władzy. Doskwierała mu bezsilność. Tak kontrastowa wobec poprzedniego oszałamiającego poczucia mocy. Pozostało mu trzymanie się tego, co miał. Mógł więc tylko schodzić z oczu swoich potężnych wrogów. I marzyć, że partia znow sobie o nim przypomni. Ale były to tylko nadzieje. Złe przeczucia i doświadczenie mówiły mu co innego. Gdyby jego dawni protektorzy Gierek i Kubalski utracili wpływy i stanowiska — i on upadłby jeszcze znacznie niżej. Może zesłano by go na przykład na nauzcziela rysunków w jakimś małym miasteczku. Taki Dubczek, kiedyś szef czeskiej partii, od lat był urzędnikiem w nadleśnictwie na prowincji. Mimo więc, że Zenon wyleciał z trzaskiem z gierkowego dworu, to jednak właśnie Gierek nie dał mu ostatecznie zrobić wielkiej krzywdy i gwarantował mu życiowy luksus. Bez tego Zenon straciłby nie tylko władzę, ale i obecność

dobrą posadę i te wszystkie rzeczy, przedmioty i sprzęty, które nagromadził przez lata partyjnej kariery. Te dwa domy, te dwa samochody, te dywany, te dolarowe konta, te alkohole, te obrazy i stały paszport (jednak mu go nie odebrano, choć dyplomatyczny zamienili mu na służbowy). Nie mając więc bezpośredniego kontaktu z Gierkiem, czuł się z nim jednak nadal związany.

I niepokoił się o Gierka. Widział, że wszystko dookoła trzeszczy i pruje się w szwach. Dawno minął gierkowski boom ekonomiczny. Załamywał się rynek. Sklepy zaczynały świecić pustkami. Na partyjnych naradach w Gdańsku mówiono o wybuchowych nastrojach w Stoczni. Na uczelni pojawiały się ulotki. Nie do niego należało wykrywanie ich kolporterów, ale wszystko to razem podnosiło jego poczucie zagrożenia.

24.

Pewnego dnia, wchodząc rano do gabinetu, zastał na swoim biurku zwykłą niebieską kopertę. Stale, a zwłaszcza teraz, podejrzliwy, zawołał sekretarkę, która zawsze przychodziła wcześniej. Nie, nie wchodziła dzisiaj do jego gabinetu. I nie widziała, żeby ktoś tam wchodził. Ale gmach jest przecież otwarty od świtu, kręcą się sprzątaczkі. Wskazał na leżącą na biurku kopertę. Sekretarka zdziwiła się. Nie kładła jej. Poczty podawała zawsze w teczce. Podziękował jej. Nie miał do niej zaufania. Zapewne donosiła na niego tym samym oficerom służby bezpieczeństwa, którym on sam donosił na rektora.

Otworzył kopertę. Była tam zadrukowana dwustronnie maczkiem kartka. Zaczął czytać. Stosował zawsze zasadę studiowania wszelkich anonimów, donosów, plotek. Zawsze można było z nich jakoś skorzystać. Mimo przykrości, jaką często sprawiały. Ostatecznie nie jest przyjemnie czytać o sobie, że się jest gnojkiem, służalcem itp. Ale anonimy często dotyczyły innych. Można je było wykorzystać jako kij na przeciwników, albo ostrzeżenie o grożącym ataku. Czytał więc tego typu pisemka czy słuchał taśm — uważnie, zimno, praktycystycznie, jak sam mawiał. Uważał się w ogóle, mimo strasznej wpadki z pomnikiem, za dobrego technika władzy.

Ale to, co teraz zaczął czytać, zupełnie wytrąciło go z równowagi.

Był to pierwszy numer *Biuletynu Niezależnego Związku Za-*

wodowego Artystów Plastyków Wybrzeża. W artykuliku redakcyjnym autorzy — anonimowi — informowali o powstaniu związku pod taką właśnie nazwą, o tym, że będzie on działał na terenie ASP oraz pracowni i biur projektowych, że zrzesza niezależnych artystów plastyków. Jego celem jest współpraca z innymi niezależnymi związkami zawodowymi i twórczymi na terenie Wybrzeża i całego kraju, dla ratowania Polski z politycznej i gospodarczej katastrofy, do której doprowadziły komunistyczne rządy. Związek będzie też bronił niezależnych artystów, pracowników uczelni i studentów przed represjami władz. Głównym narzędziem związku i wydawanego przezeń biuletynu będzie prawda. A więc publikowanie faktów na temat sytuacji w kraju i na temat poszczególnych szkodliwych działań władzy. Przedstawiane będą też sylwetki prominentów, jako członków grupy, która doprowadziła kraj do katastrofy, jest za nią odpowiedzialna i musi zostać przez naród rozliczona.

Zaraz następny artykuł poświęcony był osobie Zenona. Przedstawiono krótko a dokładnie szczeble jego kariery partyjnej i naukowej. Określono go jako pasożyta, usytuowanego na uczelni przez partię, od czasu, gdy przestał być użyteczny w Warszawie. O pomniku nawet nie wspomniano. Nie wymieniono żadnych jego prac twórczych. Wyliczono mu zarobki: gażę na uczelni, gażę kierownika pracowni wnętrza i premie za poszczególne projekty. Podano, że ma dwie wille i dwa samochody. Przedstawiono także dokładną listę jego wyjazdów zagranicznych w ciągu ostatniego roku, a także nazwy restauracji na Wybrzeżu, w których bywał najczęściej. Było to zrobione fachowo. Niewątpliwie autor — autorzy? — opracowania mieli dostęp do list płac na uczelni i w pracowni, musiano go obserwować od dawna. Może materiałów dostarczył nawet któryś z jego dawnych donosicieli?

Zenon poczuł się osaczony. Drogę w górę blokował mu Łukaszenko i jego ludzie. A tu dostawał cios z dołu. Od własnych pracowników. Był obserwowany. Wszędzie. I na górze i na dole zbierano o nim informacje. Miała na niego oko esbecja i śledziła go opozycja. Potrzask.

Chciał dzwonić do sekretarza partii na uczelni, ale pomyślał, że tamten tylko by się ucieszył z kłopotu Zenona, a zresztą to pismo musiał sam na pewno dostać. Sięgnął po słuchawkę, aby się umówić ze znajomym majorem milicji, ale odłożył ją, bo przecież tamten wykorzystałby ten materiał nie tylko dla ścigania wydawców gazetki, ale przeciwko niemu samemu. Sam tak robił. Miał duże archiwum materiałów, o każdym, kto był choćby potencjalnym przeciwnikiem, rywalem lub sojusznikiem, kto w ogóle był w gangu, w układzie. To samo, tylko na znacznie

szerszą skalę, robiła służba bezpieczeństwa. System polegał na utrzymywaniu i swoich i przeciwników w stałym strachu i niepewności. Nie, nie zanieś im sam na siebie donosu. Zapragnął zadzwonić do Marty, żeby się jej wyzalić. Ale to odsunęłoby ją tylko dalej. I tak od czasu moskiewskiej katastrofy żywi do niego pogardę. Nie łączyły ich już żadne uczucia ani emocje, tylko interesy. Opłacało się jej nadal z nim być. I tyle.

Siedział ogłuszony. Zapalił. Wypił kieliszek koniaku wyjętego z barku. Pomyślał filozoficznie, że ostatecznie nie stanowi żadnego wyjątku. O każdym prominencie, dygnitarzu, rządcy peerelu, właścicielu wielkiego księstwa czy tylko małego folwarku, można by napisać właściwie to samo. To, że redaktorzy gazetki wybrali go na początek serialu, oznaczało tylko, że jeszcze się jakoś liczy. Przynajmniej dla opozycji. Nie ma czym się przejmować. Oni, ci ludzie w dole, i tak zawsze będą się rzucać, kotłować, bulgotać. Chciał się kiedyś z nimi pojednać. I to mu uniemożliwiono. Chciał im darować ten pomnik. Widać, że tego nie docenili. Zamiast traktować go jak prześladowanego przez reżim, uważają go ciągle za jego filar. Zamiast mu współczuć, że padł ofiarą partyjnych rozgrywek, kwalifikują go nadal do partyjnego *establishment*'u. No, to on się na nich ostatecznie wypnie.

Starannie podał pisemko. Poszedł do toalety. Wrzucił strzępki papieru do muszli. Spuścił wodę. Spłynęły. Parę kawałków wychynęło z powrotem. Nasikał na nie. Spuścił wodę ponownie. Czysto.

Z sekretarką więcej o tej sprawie nie rozmawiał, mimo, że niebieskie koperty pojawiały się na jego biurku regularnie co drugi poniedziałek. Może sama je kładła? Albo któraś sprzątaczką? Postanowił to sprawdzić.

Jakieś niedzieli, gdy zbliżał się kolejny poniedziałek, w który spodziewał się pisemka, powiedział Marcie, że musi nazajutrz wcześniej rano lecieć do Warszawy. Wstał o czwartej. Pojechał na uczelnię. Wóz zaparkował w bocznej uliczce w sporej odległości od bramy. Przemknął się obok śpiącego portiera. Poszedł cicho do swojego gabinetu. Nie zapalił światła. Usiadł w fotelu. Zmorzył go sen.

Zbudziły go hałasy na korytarzu. To musiały być sprzątaczkki. Wszedł do zasuwanej szafy na płaszcze. Pomyślał, że to jest śmieszne i głupie, niech się tym zajmują podrzędni wywiadowcy. Postanowił jednak nie zmarnować okazji i zagrać tę grę do końca. Usiadł w szafie na podłodze i czekał. Było mu duszno i niewygodnie. Postanowił jednak wytrwać. Znów się zdrzemnął. Zbu-

dził go hałas otwieranych drzwi. Zobaczył w małej szparce sprzątaczkę. Przeleciała szybko meble ścierką i wyszła. Nawet nie użyła odkurzacza do dywanu. Zbliżała się ósma. Sekretarka mogła przyjść lada chwila. Musiał wyjść z szafy. Wścikły, wygramolił się i poszedł do barku w rogu gabinetu. Usłyszał w sekretariacie głosy kobiece. Rozpoznał sekretarkę. A kto tam jest z nią? Nieważne. Był odwrócony plecami do drzwi, gdy posłyszał ich skrzyp.

Odwrócił się i zobaczył garbuskę z niebieską kopertą w dłoni.

Ona zobaczyła jego i znieruchomiała. Nie spodziewała się, że jest o tej porze w gabinecie.

Oczywiście, sekretarka jest w znowie — pomyślał Zenon — zresztą zapewne pracuje na dwie strony. A ta mała? Nigdy by nie pomyślał, że to właśnie ona jest kolporterką.

„Niech pani wejdzie, pani Aniu, i niech mi pani da tę kopertę. To do mnie, prawda?”, powiedział tonem pobłażliwego wujaszka.

Nie ruszyła się. Zbladła. „Tak, to dla pana”, powiedziała.

„No, to czemu mi pani tego nie daje?”, bawił się swoją przewagą.

„Niech pan sam sobie weźmie”, powiedziała. Ruszyła do jego biurka, położyła na nim kopertę. Skierowała się do wyjścia.

„Zaraz, zaraz — zawołał za nią Zenon. — Listonoszowi należy się napiwek. Niech pani nie ucieka. Ktoś by pomyślał, że się pani boi”.

„Ja się nie boję — powiedziała ostro dziewczyna. — Czego pan ode mnie chce?”.

„Pogadać”.

„Słucham”.

„Niech się pani nie boczy, niech pani siądzie — wskazał jej fotel. — Napije się pani?”

Chwilę się wahała. Podeszła. Usiadła. „Nie będę nic piła — powiedziała. — Czego pan chce?”

„To raczej pani czegoś chce ode mnie — powiedział Zenon i usiadł naprzeciwko niej w skórzanym fotelu. — Przynosi mi pani od paru tygodni te listy miłosne i teraz pani pyta, czego ja chcę. To pani czegoś chce. Czego?”

Milczała. Powiedziała wreszcie: „Niech pan rektor od razu zadzwoni na milicję. Co się będziemy bujać”.

„Na milicję? Ja? Złe mnie pani sądzi. Myślałem, że mnie pani lepiej poznała w czasie naszej współpracy nad pomnikiem”.

„Dobrze pana poznałam. Wystarczająco”.

„A ja panią nie dosyć”. Wciąż wykorzystywał swoją wagę.

„Nie dosyć? Nawet w tej łazience w Moskwie, to było nie dosyć? Mam się teraz rozebrać, to mi pan da spokój?”

Zenon pomyślał, że właściwie to byłoby zupełnie niezłe rozwiązanie, szantażować tę dziewczynę milicją i kazać się jej rewanżować za milczenie w łóżku. Może tak warto to rozegrać. Namysł przerwała mu sekretarka, która weszła z impetem do pokoju. Zaskoczył ją widok Zenona siedzącego przy stoliku z Anną.

„O, pan rektor już tutaj, nie wiedziałam, zawsze pan przychodzi nie wcześniej niż o dziesiątej, weszłam posprzątać...”. Chciała się wycofać.

„A, miałem do sprawdzenia papiery na kolegium rektorskie, więc przyszedłem wcześniej. Nie spodziewała się mnie pani? Pani Ania też się mnie tutaj nie spodziewała”. I dodał tonem zwierzchnika: „Proszę mnie nie łączyć z nikim, zanim nie skończę rozmowy z panią magister”.

Sekretarka wyszła ogłupiała bez słowa.

„To kolegium nie ucieknie — powiedział Zenon. — Pogadajmy. To może jedyna okazja. Lub nawet ostatnia...”

„Każe mnie pan zaaresztować?”

„No, nie tak szybko. Może nie. To zależy od pani”.

„Jeżeli chodzi panu o seks, to proszę bez ogródek — powiedziała twardo. — To nie ma dla mnie znaczenia”.

„Chodzi mi, chodzi mi o seks, oczywiście, proszę nie lekceważyć seksu, to bardzo ważny element naszego człowieczeństwa — żartował — ale może tym razem o seks polityczny? Chciałbym wiedzieć, dlaczego pani robi, no, to co pani robi, ten kolportaż. A może pani sama to redaguje? Drukuje? Po co?”

„Chce pan naprawdę wiedzieć?”, zapytała poważnie.

„Chcę”.

„Więc dobrze. Robię to. Tak, piszę. Tak, drukuję. Tak, kolportuję. To chciał pan wiedzieć?”

„Nie tylko. Jest pani zdolną rzeźbiarką. Bardzo zdolną. Fenomenalnie zdolną...”

Patrzył na jej wielkie dłonie, na grube, mocne palce, krótko obcięte paznokcie. Ręce rzeźbiarki. Zamiast używać ich do narzędzi i tworzywa, przebiera teraz tymi palcami po maszynie do pisania. Kręci powielacz. Nie mógł tego zrozumieć.

Mówił dalej, jakby głośno myśląc:

„Była pani najlepsza w naszym zespole pomnika. Pani ma talent. I teraz się pani pakuje w działania nielegalne. W jakąś śmieszoną politykę. W odbijanie pisemek. Noszenie ulotek. Szkoda pani ręk. Pani powinna rzeźbić. Przecież oni panią

zniszczyć. Nie dadzą pani wystawiać. Zablokują pani awans na uczelni. Nie żal tego pani? Pani powinna już niedługo być docentem. Uczyc młodszych. Pani powinna wystawiać w najlepszych muzeach Europy, świata. Czemu się pani w to płacze?

„A co pan robił całe życie? — Odpaliła. — Pan też miał talent. Pana rzeźby w węglu były dobre. Naprawdę. I co pan zrobił z tym talentem? Sprzedał go pan za miskę soczewicy. W ogóle go pan zaprzepaścił na rzecz kariery partyjnej. Więc widzi pan sam, że są sprawy większe niż talent. A raczej takie, dla których o talencie można zapomnieć. Różnica jest ta, że pan swój talent przepuścił na rzecz swoich własnych małych celów, osiągnięć, korzyści. A ja chcę go oddać innym”.

„To są czytanki dla grzecznych dzieci, to co pani mówi. Albo raczej niegrzecznych. Żeby je umoralnić. Niech mnie pani tym nie częstuje. To byłoby za łatwe. Na to jestem za stary lis”.

„Mówię prawdę. I wcale nie zamierzam pana umoralnić. Zresztą, to by się na nic nie zdało. Ja po prostu zrozumiałam, że są w życiu sprawy ważniejsze niż talent, sztuka, twórczość. Jest takich spraw wiele. I musimy wybierać. Pan wybrał siebie, swoje pieniądze, swoje stanowiska — zamiast rzeźby. Ja teraz, zamiast rzeźby, wybieram, och, nie będę używać wielkich słów, może kiedyś znów nabiorą znaczenia, no więc wybieram pracę dla tego, co jest ważniejsze, a zarazem tak niezbędne jak chleb. Sztuka może zaczekać...”.

I wybrała pani jakieś nielegalne, dziecinne zabawy”.

„Wybrałam bardzo poważną robotę. Nie dowie się pan ode mnie o niej nic więcej. To jedno panu powiem, skoro już tak rozmawiamy po raz ostatni i pan za chwilę zadzwoni na milicję — to co robię, jest przeciwko wam, przeciwko panu też, tak, chciałam zrobić z panem ten pomnik, Boże, jaka ja byłam wtedy szczęśliwa... I ten pomnik byłby dobry. Stałby i świadczył. Wbrew pana celom i intencjom. Świadczyłby przeciwko panu. Przeciwko wam wszystkim. Ale się nie udało. Nigdy mi pan nie wyjaśnił, jak to się stało, dlaczego... Tak czy inaczej, nie ma go. Wtedy postanowiłam, że jeśli nie z panem, jeśli nie z takimi jak pan, to ja jednak kiedyś jeszcze coś takiego wyrzeźbię. Zaświadcze. Nie wiem, co to będzie. Może znów pomnik? Tu, na Wybrzeżu, potrzebny jest pomnik pomordowanych przez was robotników. Żeby pan wiedział, że jest już taki zespół ludzi, którzy go projektują. A tak. Ale żeby taki pomnik mógł stanąć, tacy jak pan muszą odejść. Muszą nam przestać zawadzać. Zabrzydzają nasz kraj. Zatrzuwać go i zanieczyszczać”.

„Znów pani mówi, jakby pani czytała swój własny artykuł

z podziemnej gazetki — przerwał jej. — Szermuje pani sloganami przeciwko sloganom. Slogan patriotyczny na slogan komunistyczny. Slogan niepodległościowy na slogan serwilistyczny. Mój język, nasz język, tak pani by powiedziała, jest językiem sloganów, nowomową, w której sensy są ukrywane za słowami, zamiast, żeby być przez nie ujawniane. Zgoda. Ale pani też używa nowomowy. Tylko innej. Czy pani tego nie rozumie? Czy pani tego nie słyszy? Zatruliście, zniszczyli... Kto? co?"

„Ja nie jestem językoznawcą ani specem od propagandy — powiedziała kobieta. — Pan się na tym zna lepiej. Ale mnie, nam, teraz chodzi właśnie o to, żeby słowa zaczęły znaczyć po prostu siebie. I tyle. Więc pyta pan — kto? Odpowiadam — wy, właściciele peerelu, a raczej dzierzawcy z obcego nadania. Co — zatruliście, zniszczyli? Odpowiadam — tę ziemię i wodę. Plażę w zatoce. I samą zatokę. I umysły. I serca. Wielu. I mowę nawet, język. A teraz ja, my, postanowiliśmy to oczyścić, odkłamać. Pan znowu zapyta — kto? Kto to — «my»? Nie podam panu nazwisk i adresów i nie podam ich na żadnym innym przesłuchaniu, ale powiem panu, że takich jak ja jest wielu, i coraz więcej. I będzie nas coraz więcej. Och, sama czuję, że powtarzam proklamacje niepodległościowców z początku wieku... Slogany, hasła... Ale o to samo przecież chodzi. O takie elementarne wartości jak wolność i niepodległość. A także — demokracja, samorządność... Aż dziwnie, że to brzmi jak hasła. Ale jest w nich treść. To wy wypróżniliście słowa z treści. My ją im ponownie nadajemy. Niech znaczą to, co znaczą”.

„Znowu słowa, słowa, słowa...” Zenon lubił się popisować odczytaniem.

„Więc może ja powiem po prostu tak — powiedziała po namyśle Anna. — To jest nasz kraj. My w nim żyjemy. Wy w nim rządzą. My mamy tego dość. My chcemy ten kraj urządzić po swojemu. Sami się w nim rządzić. Wedle naszego własnego obyczaju i historii. Na naszą własną miarę. Zwyczajnie”.

„Jakiego obyczaju? Jakiej historii? Obyczaju szkalowania najlepszych, najbardziej inteligentnych, jak Mochnackiego, jak Brzozowskiego? Odrącania najmądrzejszych, jak Wrońskiego, jak Norwida? Lansowania i uwielbiania miernot, jak Chłopiczkiego, jak Rydza-Śmigłego? Historii Sejmu Wielkiego czy historii Targowicy? Czy to też nie jest polski obyczaj i polska historia?”

Milczała stropiona. Powiedziała: „Ja na pewno jeszcze wiele muszę się nauczyć... Ale powiedzmy konkretnie, nie patrząc na całą historię, tylko tu, dookoła, na uczelni. My nie chcemy, żeby rektora nam naznaczał minister i to wedle partyjnych kryteriów.”

My nie chcemy, żeby partia decydowała o awansach naukowych. My nie chcemy, żeby sekretarz POP miał cokolwiek do powiedzenia na uczelni. My nie chcemy, żeby nam narzucano programy. My chcemy, aby każdy pracownik naukowy i każdy pracownik administracji i każdy student mógł należeć do takiego stowarzyszenia czy związku, jaki sobie wybierze. I nie chcemy, żeby przynależność do jakiegokolwiek związku, czy partii miała wpływ na oceny ludzi. Rektora chcemy wybierać tutaj, sami. Opinie o pracownikach naukowych zbierać u najmądrzejszych, a nie u najlepiej ustawionych. Uczyć tego, co najbardziej wartościowe w narodowej tradycji i światowej sztuce...”

„Znów zabrneliśmy w wielkie słowa... A co z wyborem prorektorów?”, zażartował.

„Nie miałby pan szans”, powiedziała krótko.

„Ale w pracowni wnętrzańskiej to pani ze mną pracuje i premie pani bierze, co?”

„Biorę...”

„Więc widzi pani, coś kiepsko z pani cnotą, nie tylko polityczną... Pieniądze pani ode mnie bierze, ale szkaluje mnie pani w podziemnym piśmie. Aj, nieładnie, nieładnie...”

„To nie jest tak, jak się panu zdaje — zachnęła się kobieta. — Wy przywłaszczyliście sobie ten kraj. Ustanowiliście monopol władzy i własności. Tylko wy dajecie pracę, zatrudniacie, płacicie. A to jest uzurpacja. To jest kradzież. Jeśli pracuję dobrze w pracowni, a pan tam jest szefem, to nie znaczy, że pieniądze biorę od pana! Ja je uczciwie zarabiam. I tak jest wszędzie. I my teraz właśnie to chcemy zmienić. Także to. My po prostu chcemy pracować na swoim”.

„Ale póki co, to nie gardzicie braniem od nas. Braniem kradzionego?”

Milczała. Patrzyła na niego z nienawiścią.

„Pani Aniu — powiedział Zenon — ja myślę, że musi pani sobie jeszcze wiele w główce poukładać i wiele przemyśleć. Nie mogę się nawet na panią gniewać, że robi pani wykłady z elementarza staremu profesorowi. Tak się nie dogadamy. Wie pani co? Tak się umówmy... Pani przestanie się bawić w te pisemka, bo jednak to trochę głupio donosić na swojego szefa, na człowieka, z którym się razem pracowało i pracuje — ja nigdy nie zapomnę tego czasu w pracowni pomnika. Ja panią zawsze bardzo lubiłem. I lubię nadal. Bardzo. Więc pani da sobie z tym spokój. A ja w pilnym trybie uruchomię pani przewód na docenta. Może jest pani troszkę za młoda, ale właśnie młodej kadry nam potrzeba. I chcemy szybko awansować najzdolniejszych. Zgoda?”

Pomyślał, że jeśli ta rozmowa jest nagrywana, och, jaka nuda

wręcz, to wieczne pamiętanie o podstuchu... Ale w razie czego łatwo się wykręci, bo po prostu niezależnie od takiego czy innego układu z tą kobietą i tak na nią doniesie, gdzie trzeba. A jak się ją awansuje, to tym łatwiej będzie ją potem kontrolować. W razie potrzeby szantażować.

Milczała.

„No jak, zgoda?”, powtórzył bardzo serdecznie.

„To już może lepiej jak się z panem prześpię?”, zapytała rzeczowo.

„Jedno drugiego nie wyklucza — uśmiechnął się — ale mnie chodzi o to, żeby pani zrezygnowała ze swojej politycznej cnoty. Zobaczysz pani z wiekiem, że nic nie jest jednoznaczne, nie ma prostych linii, są tylko zygzaki. I lepiej to zrozumieć wcześniej, niż później. To zaoszczędza wielu rozczarowań”.

„Może mi pan dać czas do namysłu?”, zapytała wreszcie.

Sprytna, pomyślał Zenon. Trzeba jej dać szansę.

„Dobrze — powiedział. — Ale niech się pani pośpieszy z decyzją. Bo ktoś inny, poza mną, może się wtrącić w tę sprawę, i ja przestanę mieć na nią wpływ. A bardzo bym żałował”. Była to oczywista groźba. Dziewczyna to rozumiała.

„To groźba?”, zapytała.

„Rada — odparł. — No, może ostrzeżenie, płynące z doświadczenia”.

„Dobrze, zastanowię się — powiedziała. — Przyjdę do pana rektora niedługo. Ale, ale, chciałabym, żeby pan wiedział, że pana sekretarka nie miała z tym nic wspólnego, no, z kopertami...”.

„Szlachetna — zazartował Zenon. Wydawało mu się, że ujął, może zdobył tę dziewczynę. — O, jaka szlachetna, nie tylko czysta, bezkompromisowa, ale i szlachetna... Dobrze. Zrobię to dla pani. To pójdzie tylko na pani konto”. I dodał: „Acha, proszę mi kolejne numery pisemka przynosić osobiście. Zanim pani nie zdecyduje się przestać je wydawać”.

25.

Od tego momentu co drugi poniedziałek rano Anna przynosiła Zenonowi niebieską kopertę, wyjmowaną ze skoroszytu, spod bluzki, z majtek. Wręczała mu ją i wychodziła bez słowa. Nawiązało się między nimi dziwne porozumienie. Tak trwało. On

czekał. Ona przeciągała strunę. Raz i drugi rzucił jej krótko: „Moja oferta jest jeszcze ważna. Ale już niedługo”. Odpowiadała: „Zastanawiam się”.

Z artykułów w biuletynie Zenon dowiadywał się szczegółów życiorysów swoich kolegów z kolegium rektorskiego, z uczelnianej POP, także innych gdańskich prominentów. Autorzy artykułów podawali również rewelacyjne dla niego dane dotyczące marnotrawstwa materiałów w Stoczni i cen, za które sprzedawano statki do Związku Sowieckiego: licząc wkłady dewizowe, Polska faktycznie dopłacała do każdego zbudowanego dla Rosjan statku. Czytał dane naukowe o zanieczyszczeniu Bałtyku, o składzie wody pitnej Trójmiasta, o wydzielinach rafinerii. Chłonał kolejne numery pisemka jak niemieckie powieści pornograficzne, które sobie czasem przywoził z zachodu. Zawsze bał się, czy nie będzie czegoś nowego o nim samym. Ale go więcej nie zaszczycono nawet wzmianką. Miał więc tylko uciechę, czytając o innych. I ogarniała go groza, gdy czytał o rozmiarach kryzysu w monarchii Gierka. Za każdym razem, nie wykonując zalecenia, umieszczanego w każdym numerze — „po przeczytaniu podaj dalej” — dał pisemko na drobne kawałki i spuszczał je z wodą. Czasem nawet wydawało mu się, że jest jedynym jego odbiorcą, bo ani na kolegiach rektorskich, ani na zebraniach partyjnych nikt nigdy o biuletynie nie wspomniął. Sam się z tym też nie wychylał. Na pozór życie uczelni toczyło się normalnie.

I w ogóle w całym kraju na pozór wszystko szło normalnie. Na 22 lipca Zenon dostał kolejny order. Już nie starczało dla niego odznaczeń. Tym razem dostał więc krzyż oficerski Polonia Restituta. I wysoko i chlebowo. Odznaczonych było zresztą wielu. Gierk rzucił ordera garściami. Popłynęło morze wódki.

Były wakacje. Pisemko przestało się ukazywać po ogłoszeniu przerwy urlopowej. Postanowił, że rozmówi się z garbuską ostatecznie i definitywnie na początku następnego roku akademickiego. Albo w tę, albo w tamtą stronę. Albo wyrzucenie z uczelni, albo awans.

Sierpień miał spędzić na międzynarodowym plenerze fotografików w ośrodku Akademii nad jeziorem Wdzydze. W programie było parę seminariów, parę „zadań” fotograficznych na określone tematy, wycieczki do Stoczni i statkiem po zatoce, zwiedzanie Westerplatte, a wszystko to razem, aby zrewanżować się kilkunastu zagranicznym znajomym, którzy go kiedyś gościli u siebie i aby nawiązać nowe kontakty, które zaowocowałyby kolejnymi rewanżami. Reakcja łańcuskowa wzajemnych usług. Plener, czy też kurs letni, był dla „artystów-amatorów”, a nie dla „zawodow-

ców” lub „reporterów”, co umożliwiło Zenonowi zaproszenie kogo chciał, byle tylko wybraniec wyraził chęć przyjazdu i wziął ze sobą aparat lub kamerę video. Naznaczając sam siebie na kierownika tego pleneru, Zenon zapewniał sobie praktycznie długie wakacje, bo przecież nie miał nic do roboty w czasie pleneru, poza byceniem się nad jeziorem. Marta miała nominalnie przez sierpień pracować, przyjeżdżając jednak nad Wdzydze na długie weekendy. Urlop mieli wziąć oboje od 1 września. Wykupili wczasy na Majorce. Oczywiście przez znajomość z dyrektorem Orbisu; dla zwykłych śmiertelników takich wczasów nie sprzedawano.

Zenon pojechał do Wdzydz prosto z dość nerwowej narady w KW, na której poinformowano o strajkach w Lublinie i napięciu w Stoczni gdańskiej. Kierowników wszystkich zakładów pracy, w tym i uczelni, zobowiązano do zaostrożenia dyscypliny pracy, a także kontroli terenów i budynków. W Akademii nie było specjalnie czego kontrolować. Tym mniej w ośrodku pracy twórczej nad jeziorem.

Gośćmi Zenona było paru profesorów z akademii plastycznych krajów socjalistycznych, kilku polonijnych, dobrze widzianych działaczy, niekoniecznie fotografików, na których zaproszeniu i ugoszczeniu zależało jednak Towarzystwu Polonia, i duża grupa artystów-fotografików z Zachodu, bądź znajomych Zenona, bądź też wytypowanych przez peerelowskie ambasady. W sumie zebrało się towarzystwo nie nastawione na przemęczanie się bieganiami z kamerą, ale na opalanie się, pływanie kajakami i żagłówkami.

Wyjątek stanowiła pierwsza część pleneru, zatytułowana „studium artystycznego aktu”. Zenon sprowadził modelki ze wszystkich akademii i szkół plastycznych w kraju; mogły się zgłaszać też studentki. Płacił dobrze. Specjalne stawki plus zakwaterowanie i wyżywienie. Nie zdziwił się, gdy w długonogiej blondynce z płaskim brzuchem i doskonałą figurą rozpoznał „swoją” krakowiankę z pracowni pomnika.

Następnymi tematami pleneru miało być „studium natury”, a na koniec „studium ludzkiej pracy”. Natura byłaby fotografowana nad jeziorem i w czasie przejażdżek po morzu. Praca w Stoczni. Na razie jednak dominował akt. Zenon sam odbył parę sesji fotograficznych z piękną krakowianką. Z zalem musiał zadowolnić się rejestrowaniem jej wdzięków na taśmie. Jako kierownik kursu nie mógł sobie pozwolić na bardziej konkretne badania jej ciała. Z uwagi na międzynarodowy skład pleneru miał oczywiście anioła stróża ze służby bezpieczeństwa, zakamuflowanego jako asystent z Akademii. Wyróżniał się on gorliwością

w fotografowaniu modelek, a także fotografów, fotografujących modelki. Na wszelki wypadek chciał mieć pełną dokumentację. On pilnował Zenona, a Zenon jego — na złość. Byli jedynymi wstrzemięźliwymi w całym towarzystwie. Inni zabawiali się z modelkami, a także z kucharkami z domu wczasowego, które wprawdzie nie rozumiały obcych języków, ale znały się świetnie na piśmie obrazkowym kilkunastu różnych walut. W dzień kursanci rozchodzili się lub wypływali w okoliczne krzaki. W nocy bankietowali w pokojach. Zenon nudził się śmiertelnie.

26.

Wiadomość o strajku w Stoczni, podana przez lokalną telewizję i potwierdzona przez Martę, która przyjechała w sobotę rano, zaskoczyła i zbulwersowała Zenona.

W poniedziałek pojechał do Gdańska do KW, aby się czegoś dowiedzieć i zapytać o instrukcje. Co ma robić ze swoimi zagranicznymi gośćmi? Wszyscy sekretarze byli zajęci. Instruktor niskiego szczebla, z którym Zenon rozmawiał — jakież upokorzenie, on, niegdyś członek KC — powiedział mu, żeby prowadził swój plener jak gdyby nigdy nic. W ogóle nic się nie stało i nic się nie stanie. Niech tylko Zenon dopilnuje, żeby nikt nie wychylał nosa znad jeziora. Skasować wycieczki po Zatoce. Wycieczkę do Stoczni zastąpić wycieczką do mleczarni w Kartuzach.

„Żadnych zagranicznych fotografów nam tu teraz w Gdańsku nie potrzeba!”

Zaraz z gmachu KW Zenon zadzwonił do Wdzydz, że jutrzejsza wycieczka do Gdańska została odwołana z przyczyn technicznych, bo nawalił autobus uczelni, który miał wszystkich przewieźć.

Wieczór spędził z Martą w domu na zażartej kłótni. Ona twierdziła, na podstawie krążących po Gdańsku wiadomości, plotek i ulotek, że strajk się rozszerza, obejmuje coraz to nowe zakłady, już stoi Gdynia i trzeba stąd uciekać, bo lada chwila wkroczy wojsko, może być nawet sowiecki desant z morza i będą jatki, jakich nie było nawet w 1970 roku. Zenon dowodził, że stoczniowcy zmiękną jak się im trochę pogoni kota, wprowadzi odpowiednią ilość tajniaków do Stoczni i obieca podwyżki. Wszystko rozejdzie się po kościach. Gierek nie użyje wojska, robotnicy nie posuną się do awantur. Radom i Ursus czegoś ich

na pewno nauczyły. Nikt nie chce wylecieć z pracy i potem latami dobijać się o ponowne przyjęcie. Ona jednak histeryzowała. „Wyjdą na ulice. Będą palić komitety. Będą palić wille prominentów”. Nazwał ją wariatką. Ona jego kretyńcem z klapkami na oczach. On ją była divą telewizyjną. Ona jego niedoszłym artystą. Nie pogodzili się nawet w łóżku. Rano jednak ona się uparła, że w Gdańsku nie zostanie, tylko pojedzie z nim nad Wdzydze. Było mu to bardzo nie na rękę, bo akurat zaplanował kolejną „sesję z kamerą” z długonogą krakowianką. Nie umiał jej jednak uspokoić. Zapakowała całą biżuterię i wszystkie pieniądze, we wszystkich walutach, jakie mieli w domu. Kazała mu pojechać do banku i podjąć wszystko z konta dolarowego, pod pretekstem podróży na Majorkę, i niech nie zapomni wziąć pozwolenia na wywóz, właśnie do Hiszpanii. Zadzwoiła do swojej redakcji, że jest chora. Wyjechali dopiero po południu.

Gdy wieczorem, spóźnieni, weszli do sali jadalnej w domu wczasowym we Wdzydzach, Zenon początkowo nie zrozumiał, co się stało. Prawie wszystkie stoły były puste. Siedziały tylko grupka modelek, ale nie było wśród nich krakowianki. Poza tych parę osób. Poszedł do kuchni i zapytał kierowniczkę stołówki, co się dzieje.

„To już tak od obiadu — powiedziała. — Było czternaście na trzydzieści siedem. W tym cztery zagraniczne i dziesięć krajowych. Same te kurwy. O, przepraszam pana rektora. Te modelki”.

Pobiegł do intendenta. Zastał go pijanego.

„Nie ma... Wyjechali... Nie ma... — Bełkotał. — Wzięli aparaty, wzięli walizki, wzięli dziewczyny i pojechali...”.

„Gdzie pojechali!?”

„Jak to gdzie? Do Gdańska. Fotografować strajk”.

Pod Zenonem nogi się ugięły.

Intendent bełkotał: „Wszyscy. Wszyscy... Tylko Czesi zostali. Nawet Ruscy pojechali. Został tylko ten kutas z KGB, który ich dogląda...”.

Zenon się spocił. To pachniało straszliwą aferą. Był odpowiedzialny. I w dodatku akurat wczoraj wyraźnie mu powiedziano w KW, że ma tych fotografów trzymać z dala od Stoczni. Wpadł w panikę. Nie wiedział, co robić. Pilnować tej ostatniej grupki, czy jechać do Gdańska szukać tamtych? Ale gdzie? W Stoczni? Przecież go tam zwyczajnie nie wpuszczą. Po ulicach? Szukaj wiatru w polu.

Już widział się wezwanego do KW, do Komendy Miejskiej. Zmieszanego z błotem za brak czujności. Zdegradowanego. Nie umieliście nawet głupiego kursu fotografików upilnować. Stra-

ciliśmy do was ostatecznie zaufanie. Won! Wyrzucą go z uczelni. Zabiorą mu willę. Zabiorą paszport. Nie puszcza na Majorkę. Wykopią z partii. Wytoczą mu jeszcze na dodatek jakieś dochodzenie finansowe. Już widział się przed komisją kontroli partyjnej. Już siedział przed prokuratorem. Może go w ogóle wsadzą?

Poszli spać ponurzy i załamani.

Późno w nocy zbudził go telefon. Spodziewał się tego! Już go mają! Wzywają! Już wiedzą! Przerażony podniósł słuchawkę. Nie poznał kobiecego głosu. Myślał, że to jakaś sekretarka z KW, z milicji, ze Służby Bezpieczeństwa.

„Kto? Anna Kawecka? Nie przypominam sobie”.

„Panie profesorze, to ja, Ania, asystentka z ASP, byłam w pana pracowni pomnika, to ja przynosiłam panu te tajne gazetki...”.

„Jakie gazetki? Nie czytałem żadnych gazetek!”

„Jakże pan może nie pamiętać? A łazienkę w Moskwie pan pamięta?”, śmiała się.

Waliło mu serce. Ból w mostku. Dopadli go. Ta garbuska. Doniosła na niego. On się nie pospieszył z donosem na nią, to ona nadała na niego.

„Tak, przypominam sobie panią, ale nie pamiętam żadnych nielegalnych druków. Coś pani wymyśla. Tak, wiem, jest pani asystentką na wydziale rzeźby. Przepraszam, byłem zaspany. Czego sobie pani życzy?”

„Niech się pan nie boi — powiedziała. — Niech się pan nie boi, no, panie profesorze, teraz jest inaczej. Dzwonię do pana, żeby panu powiedzieć, jak strasznie się cieszę... Chciałam to panu pierwsza powiedzieć... Jaka jestem szczęśliwa... Ja w pana zawsze wierzyłam...”.

„O czym pani mówi, pani magister?”, przerwał nieufnie.

„Panie profesorze, dziś wybuchł strajk w FSO w Warszawie, strajk solidarnościowy ze Stoczną, naturalnie. I robotnicy wysunęli listę postulatów wobec władz. I jednym z postulatów jest wybudowanie pomnika Powstania Warszawskiego! Pańskiego pomnika. Naszego pomnika. Naszego wielkiego V. Naszej Victorii. Naszego zwycięstwa. Rozumie pan? Robotnicy Żerania żądają podwyżek, zniesienia cenzury, mszy świętej przez radio i naszego pomnika! To jest cudowne! Cudowne. Zawsze pana kochałam!”

Więc to ta garbuska, Ania, myślał. Ania redaktorka tajnego pisemka i Ania kolporterka, którą chciał nawrócić na partyjną wiarę. Zdolna rzeźbiarka. Apetyczna dziewczyna. Ale to, co ona mówi o moim pomniku, jest bardzo niebezpieczne.

Ona mówiła dalej: „Wróci pan do Warszawy, razem pojedziemy do Warszawy i będziemy razem ten pomnik budowali. Kubalski już poleciał. Będzie miał proces. Łukaszenko poleciał. KC obraduje i aż się trzęsie. Gierek polecą. Wszystko się zmienia”.

Zenon zamarł. „Prezes Kubalski zdjęty? I sekretarz Łukaszenko? Co pani mówi?”

„To pan nic nie wie? Pana najwięksi wrogowie”.

„Skąd pani wie?”

„Przecież pracuję w prasie, prawda? — Słychać było śmiech w jej głosie. — Gierek wrócił z Krymu prosto z objęć Breżniewa, ale też polecą. Ja to panu mówię. I będziemy budować nasz pomnik!”

Zenon myślał gorączkowo: Łukaszenko poleciał — to dobrze. Kubalski poleciał — to źle. Gierek się chwyci — to bardzo źle. To znaczy, że fala podchodzi wysoko. Tuż, tuż... Ale przecież dopiero co Gierek spotkał się z Breżniewem na Krymie, ma jego poparcie, to niemożliwe, a jeśli możliwe, to już wszystko jest możliwe. To już po mnie. Tylko oni trzymali mnie jeszcze przy łożbie. A pomnik? Robotnicy? Postulaty? Ktokolwiek teraz przyjdzie na pierwszego sekretarza, jakie by nie było biuro polityczne, to mi nikt nie daruje, że robotnicy się za mną ujeli. Powiedzą, że byłem w znowie. Ja — z robotnikami! Czysta kpina! Ale to mi zarzucą. A postulaty robotnicze? Nigdy ich nie spełnią. Nawet jeśli by coś obiecali. Zresztą wejdą Ruscy. A może w ogóle wszystko się rozsypie? Tępnie. Może naprawdę partia straci władzę? To by było jeszcze gorzej. I kto będzie rządził? Robotnicy? Stoczniowcy? Górnicy? Groza. Też mogliby go postawić przed sądem. Skazać. Wszystko zabrać. Na pewno by tak zrobili. Wiać.

„Bardzo pani dziękuję, pani magister, za wiadomość...”

„Aniu, Aniu...”

„Bardzo pani dziękuję za wiadomość, pani Aniu, za ten telefon... Tak, na pewno zobaczymy się niedługo...”

„I będziemy razem znowu budowali. I tym razem wybudujemy. Nic nam teraz Moskwa nie zrobi. Robotnicy są z nami. A moją gazetę drukuję teraz w Stoczni. Podniosłam nakład i zwiększyłam objętość. Przyniosę panu...”

„Dobrze, już dobrze... Dziękuję pani, dobranoc”. Położył słuchawkę.

Marta siedziała na kołdrze rozbudzona i czujna. W czasie rozmowy zapaliła nocną lampkę. Patrzyła na Zenona.

„Kubalski poleciał. Gierek może polecieć”, powiedział głucho Zenon.

„A ty możesz wylądować”, dokończyła ponuro.

„To jeszcze nie wszystko — powiedział Zenon. — Wygląda na to, że robotnicy wygrają strajki. I dopiero będzie bal”.

„Co chcesz zrobić?”

Milczał.

„Może znowu pobijesz jakiegoś strażnika?”, zapytała drwiąco. Był zdruzgotany. Wszystko się wokół waliło. I tam w Warszawie i tu nad tym cholernym jeziorem. Kursanci uciekli...

„Muszę poszukać tych fotografów”, powiedział wreszcie.

„Toś wymyślił!”

„Więc co mam robić?”

Teraz ona milczała.

„Już wiem — odezwał się po chwili. — Po prostu nie będę nikogo informował, że ich tu nie ma. Ten kapuś z komendy wojewódzkiej też pewnie się będzie bał donieść, bo sam nie upiłnował. Sam się nie popisał i musi się bać tak samo jak ja. Będziemy postępować jak gdyby nic się nie stało. Będziemy udawali. Będziemy udawali, że plener trwa nadal, że wszystko jest po staremu. Każę nawet raporty z kuchni sporządzać na cały stan kursu. Normalnie. Nie ma sprawy. I tak trzymać”.

„Boisz się?”, zapytała.

„Bardzo”, wyznał.

Kochali się potem długo i rozpaczliwie. Spali długo. Nie poszli na śniadanie. Na obiedzie było ich już tylko siedmioro: trzech Czechów — dwóch partyjnych profesorów z Pragi i ich nadzorca tajniak, zresztą też pozujący na fotografa; przy osobnym stoliku oficer KGB, osierocony przez swoich podopiecznych; osobno polski esbek; osobno Zenon i Marta. Reszta polskich modelek też się ulotniła. Wszyscy jedli w milczeniu.

Wieczorem, po kolacji, w sali telewizyjnej było ich tylko troje. Towarzysz sowiecki i ich dwoje. Czesi zakazali sobie oglądania dziennika telewizyjnego i słuchania jakichkolwiek wiadomości o strajkach. Esbek pił samotnie.

Tak spędzali długie kolejne dni. Między posiłkami szli na kajaki i na ryby. Udawali, że nic się nie stało. Zachowywali się tak, jakby nic się nie działo. Ani tutaj, ani w Gdańsku, ani w całej Polsce. Nie przyjmowali do wiadomości, że coś się w ogóle gdzieś dzieje. Byli w tym domu wczasowym jak na oblanej oceanem wyspie. Jak na innej planecie. Jedli, pływali, wydalali, spali, łowili ryby, fotografowali kaczki i szuwary, znów jedli, oglądali dzienniki telewizyjne i nie komentowali ich. Znów spali. Znów jedli. Mało w ogóle do siebie mówili. Z Czechami, Rosjaninem i jedynym — poza nimi — Polakiem wymieniali dzień dobry, smaczno, dziękuję i dobranoc. Zawiązała się mię-

dzy nimi niepisana umowa, że plener trwa nadal normalnie. Nie telefonowali do nikogo. Nikt nie telefonował do nich. Nie dostawali poczty. Nie pisali do nikogo. Udawali, że żyją jeszcze w swoich dawnym świecie. Który tam w Gdańsku, w Warszawie zawałał się, wstrząsany konwulsjami. Przystawał istnieć. Udawali, że żyją.

Zenon cały czas bał się potwornie, że tamten świat upomni się o niego. Może wpaść nagle kontrola z KW i zobaczy, że jest to kurs bez kursantów. Albo zastrajkuje obsługa domów wczasowych. Lub strajkujący stoczniowcy zażądają wyrzucenia go z uczelni.

W Gdańsku, w Warszawie ludzie mieli ważniejsze sprawy niż przypomnieć sobie o jakimś plenerze fotograficznym nad jakimś jeziorem. Telewizja przekazywała informacje o trwających i rozszerzających się strajkach. Szczecin. Jastrzębie. Warszawa. Bydgoszcz. Dolny Śląsk. Górny Śląsk. To szło jak powodziowa fala. Potem były wiadomości o negocjacjach robotników z delegacjami rządowymi. Na starych radiach w domu wczasowym Zenon z Martą próbowali łapać Wolną Europę. Zachłystywała się. Świat skupił uwagę na Polsce. Nawet w państwowych środkach przekazu wyrastało, wyłaniało się, zaczynało dominować nowe wielkie imię — Lech Wałęsa. Kolejnego wieczora podano, że towarzysz Edward Gierek ustąpił — ze względu na stan zdrowia — ze stanowiska pierwszego sekretarza KC i na jego miejsce wybrano towarzysza Kanię. Zenon zdrętwiał. Kani wcale nie znał, poza paroma przelotnymi spotkaniami. Wiedział tylko, że ma on ogromne archiwum kompromitujących dokumentów, że ma kija dosłownie na każdego. Był w układzie z Gierkiem. Ale teraz stworzy swój własny układ. I dla niego, Zenona, nie będzie w nim już miejsca.

27.

Po dzienniku Zenon wziął Martę za rękę i już o zmroku poprowadził ją ku przystani. Na pomoście stał, paląc w milczeniu, kapitan KGB.

„Na rybki?“, zapytał.

„Na rybki“, odpowiedział Zenon, choć nie miał wędki, co tamten przecież widział. Konwencja. Rozstali się z uśmiechem i zrozumieniem.

Zenon i Marta wzięli kajak i wypłynęli daleko na jezioro. Wieczór był spokojny. Woda stała. Było cicho. Pusto. Zenon rozejrzał się, nachylił się do Marty i powiedział szeptem, żeby nie poniosło po wodzie:

„Nie wrócimy już z Majorki. Zgadzasz się?”

„Zgadzam się — odpowiedziała od razu. I dodała: — Sama tak myślałam”.

„To by było na tyle — powiedział nadal szeptem Zenon. — Nic do nikogo o tym. Nawet między sobą. Ani słowa. Nawet szeptem. Spakować się normalnie, a rozsądnie. Nic nie dać do poznania. Wezmiesz biżuterię. Ja wezmę waluty. Zostaw tylko, pamiętaj, w domu legitymację partyjną. O jedno cię proszę: gdy będziemy wychodzili z domu, zapytaj mnie, czy zostawiłem swoją legitymację. To ważne”.

Umilkł. Po chwili zapytał: „Masz jeszcze coś?”

„Nie”.

Milczeli.

„A ty?”, zapytała.

„Nie”.

Znów milczeli.

„Ja mam jeszcze coś”, powiedziała.

„Ażyl?”

„Tak. Polityczny”.

„Dadzą?”

„A tu?”

Więcej o tym nie mówili.

Od tej chwili zaczęli natomiast myśleć, czy ich wypuszczą, czy ich nie zatrzymają na granicy. Co moment każde z nich drętwiało z przerażenia, wyobrażając sobie, że na lotnisku ich zde-maskują, poznają im po oczach chęć ucieczki, zidentyfikują jako uciekinierów, nie pozwolą wejść do samolotu.

Gdy wrócili, na przystani wciąż stał smętny oficer KGB.

Bidak, pomyślał Zenon. W Polsce o azyl nie poprosi. A jak wróci, to już go zdrowo rozliczą.

„Rybki brały?”, zapytał Rosjanin.

„Nie brały, skubane”, odpowiedział Zenon.

Rozeszli się.

Zenon z Martą spędzili jeszcze jeden dzień nad jeziorem. Nie wspomnieli więcej ani słowem o powziętej decyzji. Zenon zatele-fonował do dyrektora administracyjnego uczelni po autobus, dla przewiezienia uczestników pleneru do Gdańska.

„Ile to osób? — zapytał dyrektor. — Żebym wiedział, jaki wóz przysłać”.

„Trzydzieści dziewięć — powiedział Zenon. — 37 gości plus

dwie sezonowe kucharki. Razem 39". W rzeczywistości miał dwie kucharki, ale tylko pięciu gości. Liczba ta powiększyła się tegoż wieczora o czworo Rosjan. Zjawili się grzecznie w ostatnim dniu kursu. Były to dwie pary profesorskie. Zenon nie słyszał ich rozmów z oficerem KGB. W jadalni na śniadaniu milczeli. Nikt więcej, z tych, którzy uciekli z pleneru fotografować strajki, już się nie pokazał.

Rano 31 sierpnia 1980 roku w siąpiącym deszczu Zenon zagnał na podjeździe domu wczasowego trzech milczących Czechów, pijanego esbeka i smętnego Rosjanina wraz z jego małą trzódką; wszyscy pięcioro zapewne obliczali, ile lat zsyłki dostaną — on za zaniedbanie, oni za lekkomyślność.

Po wyprawieniu pustawego autobusu, Zenon i Marta spakowali się i pojechali swoim wozem do Gdańska. Uderzył ich odświętny wygląd miasta. Wywieszone wszędzie flagi narodowe. Tłumy na ulicach. Ludzie uśmiechnięci, odprężeni. Z radia w samochodzie dowiedzieli się, że strajk zakończył się zwycięstwem robotników i na jutro wyznaczono podpisanie porozumienia między komitetem strajkowym a komisją rządową. Mijali twarze uśmiechnięte, rozradowane. Z okien buchała na cały regulator Wolna Europa. Rozlegały się śpiewy.

W skrzynce na listy było pełno poczty. Zenon siadł i przeglądał koperty. Jedną po drugiej odrzucał bez otwierania. Nad jakąś się zatrzymał. Otworzył. Był to list od jego syna, który pisał, że kończy już seminarium i zostaje księdzem. Będzie wyświęcony na Jasnej Górze w dniu 26 sierpnia, w Święto Matki Bożej, wraz z wielką grupą kleryków, przez Prymasa Wyszyńskiego. Pisał, że modli się nieustannie za ojca, że cieszy się z rozpoczynającej się służby kapłańskiej i śle najgorętsze wyrazy miłości. Pierwszą mszę świętą odprawi również na Jasnej Górze w dniu 1 września. To było jutro. List przeleżał się dwa tygodnie w skrzynce. Zenon długo siedział z tym listem w ręku. Było mu strasznie ciężko.

Wieczorem, za szczelnie zasuniętymi zasłonami na oknach Zenon z Martą pakowali się w swojej willi na wyjazd na wczasy na Majorce. Wiedzieli, że to co wezmą będzie, może przez bardzo długi czas, wszystkim co mają. Ale nie mogli zwrócić uwagi celników. I dom musiał zostać w porządku. Za jakiś czas ktoś do niego wejdzie. Ktoś obcy. Te wszystkie rzeczy w szafach i na półkach. Te wszystkie telewizory, magnetowidy, radia, adaptory. Te niezliczone gadzety. Te dywany. A w Warszawie był drugi taki dom. Straszno im było.

Zenon rozpałił ogień w kominku i zniósł do salonu swoje

archiwum. Cztery duże szuflady kartotek różnych ludzi, poczynając od Gierka poprzez Kubalskiego i Łukaszenkę aż do kolegów na uczelni. Byli tam sekretarze wojewódzcy, redaktorzy telewizji, profesorowie akademii plastycznych i uniwersytetów, jego wszyscy donosiciele, których lista zresztą z czasem zaczęła się jakoś kurczyć. Były tam anonimy, donosy, notatki tajniaków. Własne zapiski Zenona z rozmów przeprowadzanych w cztery oczy, poufnych porad. Kopie dokumentów z nadrukiem „ściśle tajne”. Zaczął te wszystkie papiery po kolei palić. Rzucał na nie okiem. Przypominał sobie ludzi i zdarzenia. To zostało z jego całego życia. Palił. Ogień nie chciał się imać posklejanych papierów. Zenon musiał grzebać i podtykać. Wziął się na sposób i dał kartki na strzępy. Tak paliły się lepiej. Dużo tego było. Długo się męczył. Wreszcie wypróżnił wszystkie cztery szuflady. Wszystko się spopieliło. Przegrzebał popiół. Polał wódką wziętą z barku. Buchnęło. Zagasło.

Bardzo późno w nocy znieśli bagaże do salonu. Wyznaczyli sobie, że mogą wziąć po dwie walizki i po jednej torbie, plus płaszcz na rękę. Ale letni. I tak niepotrzebny na Majorce. Ale rano będzie w Gdańsku chłodno, to płaszcz nikomu nie podpadnie.

Siedzieli w fotelach.

Patrzyli na te walizki, na torby i na rzucone na nie płaszcze. Patrzyli wokoło, po ścianach, po zasłonach, po obrazach, książkach, kryształach, żyrandolach.

Marta zaczęła płakać. „To konieczne?! To musi tak być?” „Cicho”, syknął.

„Nigdzie nie pojedę! — zawołała. — Nigdzie nie pojedę, słyszysz?”

No to ja sam pojedę na te wczasy na Majorce!” Powiedział to bardzo głośno i wyraźnie. Nie wiedział, gdzie mają założony podsłuch. Bo, że go mieli, było dla niego oczywiste.

„Nie pojedę z tobą! Nie wyjadę stąd!”, wyła i szlochała.

„Milcz”, krzyknął.

„Nie zmusisz mnie! Sam sobie wybieraj swoją wolność!”

Trzasnął ją w twarz. Bardzo mocno. Poleciała z fotela na podłogę. Zachłysnęła się szlochem i umilkła. Po chwili dopiero zaczęła znowu płakać, ale cicho i żałośnie. Stała na czworakach, z tymi swoimi farbowanymi na rudo włosami w mokrych strąkach zwisających po obu stronach twarzy, wyglądała staro, okropnie, uderzała pięściami w dywan. Niech zostaje, pomyślał.

Zostawił ją tak. Wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Poszedł do sypialni i uważnie nastawił budzik na czwartą. Samolot czarterowy, bezpośrednio z Gdańska do Madrytu, był o szóstej rano.

Już była druga. Zapalił. Położył się z papierosem, w butach na pościeli. Pomyślał, że już mu nie będzie potrzebne czyste prześcieradło.

Zgasił papierosa i zgasił światło. Patrzył ponuro w ciemność. I w przeszłość. Była w nim pustka. Rozpacz. Czuł się oszukany i przegrany. Wypadł z gry. Został bez przydziału. Wyleciał z gangu. Widział się aresztowanym. Przesłuchiwanym na okoliczność kopertówek branych i dawanych w telewizji, wypytywanym o fikcyjne rachunki w swoich kolejnych pracowniach projektowych. Uciekać. Widział się przed komisją kontroli partyjnej. Mróz po kościach. Uciekać. Zatrzymają mnie na kontroli paszportowej. Będą mieli na liście moje nazwisko. Nie przepuszczą mnie. Intrygowaliście przeciwko swoim zwierzchnikom. Wprowadzaliście w błąd kierownictwo. Nie dopilnowaliście zagranicznych kursantów. Widzicie, ile porobili fotografii ze strajków i to wszystko opublikowała wroga nam prasa zachodnia. A kilka filmów z tymi fotografiami zarekwirowała radziecka służba celna. Fotografów już oni pogonią. Ale to wy doprowadziliście do kompromitacji naszej partii wobec wielkiego sojusznika. Cztery razy. Prowokacyjną rzeźbą. Śpiewaniem w hotelu w Moskwie polskich kołęd. O, tu jest nagranie. Chcecie posłuchać? Pobicie strażnika na wystawie w Moskwie. Nasyłaniem do Związku Radzieckiego fotografii ze strajków. Ściągaliście studentki do swoich melin. Zdejmowaliście majtki sekretarkom, zasłużonym funkcjonariuszkom. Fałszowaliście delegacje służbowe i diety. Zawyżaliście rachunki. Nadużywaliście stanowiska. Kto z nas tego wszystkiego nie robił? Ale wy daliście się przyłapać. I śmiech. Uciekać! Podburzyliście robotników na Zeraniu do ułożenia jakiejś listy postulatów. Byłem wtedy nad jeziorem, jak mogłem to zrobić? Ale wasze nazwisko znalazło się na tej liście! Tak? Robotnicy was poparli! Tak? Przeciwko komu? Przeciwko partii. Przeciwko mafii! Co mówicie? Powtórzcie! To była mafia! To był gang! Zanotować do protokołu. Ja nic nie powiedziałem. Wszystko jest zanotowane. Nagrane. Wszystkie wasze telefony. Wszystkie wasze rozmowy. Wszystkie wasze szeptki. Mamy na was dowody. Ale wam nie było dosyć szukać własnej korzyści. Szukaliście sprzymierzeńców w przeciwnikach. Nie donieśliście w porę na magister Annę Kawecką, czym wyrządziliście niepowetowane szkody partii. Była ona redaktorem nielegalnych wydawnictw. Współdziałałaście z nią w kolportażu. Wiać! Wyłudziłaście nominację profesorską. Przekupiliście jurorów sądu konkursowego. Zatajaliście dane z życiorysu. Ja byłem zawsze z partią. Zawsze z wami. Podszywaliście się pod nas. Byliście obcy. Jesteście obcy. Odpokutujecie za swoje sprawy. Muszę uciekać.

Zatrzymają mnie na cle. Otworzą mi walizki. Zobaczą, że mam za dużo rzeczy jak na Majorkę. Podpadnę. Zawrócą mnie. Klecząc przy konfesjonale, w którym za kratką widniał cień twarzy jego syna. Jakież młody. Jasne włosy, biegnie w słońcu, od morza, rozpryskuje wodę, mój syn. Milczałem, kiedy trzeba było mówić. Mówiłem, gdy mówić było niegodnie. Zatrzymywałem zapłatę pracownikom. Nie posyłałem żonie alimentów. Wyrzucałem studentów z uczelni za wypowiedzi podsłuchane przez kapusia na zajęciach. Podrabiałem dokumenty. Fałszowałem rachunki. Kradzież. Pycha. Cudzołóstwo, bigamia, nieczystość. Och, uciec od tego. Ileż świństw. Ten ksiądz, ten prokurator, ten śledczy nawet nie przypuszczają, ile ciemności w jednym małym sercu, w jednym krótkim życiu. Wiemy, wiemy. Śmiech. Kto to idzie na mnie, wprost na mnie, ta czarna plama na śniegu, czarny mundur, czarna twarz, wyciąga rękę, zapada się w śnieg, tonie, topi się, tylko ta czarna ręka, nie mogę dosięgnąć!

Obudził się mokry od potu. Budzik, przywieziony kiedyś z Niemiec, grał melodyjnie Mozarta. Marta nie było w łóżku obok. Poszedł do łazienki. Wziął prysznic. Ogolił się. Poszedł do szafy w swoim pokoju. Włożył świeżą bieliznę. Nową koszulę. Krawat. Wybrał jasny, letni garnitur.

Zeszedł na dół, do salonu.

Marta siedziała na walizce w płaszczu. Nie spojrzała na niego. Wstała. Powiedziała: „Nie zapomniłeś zostawić legitymacji partyjnej?”

Zapomniał. Sięgnął do portfela. Wyciągnął czerwoną książeczkę. Podeszedł do półki i wsunął ją między jakieś czasopisma. Schował portfel.

„Idziemy?”, zapytał.

Nie odpowiedziała. Założyła turystyczną, wypchaną torbę na ramię. Powiesiła na ręce torebkę. Dosięgnęła obiema rękami walizek i dźwignęła je z trudem. Poszła do wyjścia.

Po chwili Zenon starannie sprawdzał kolejne trzy zamki w drzwiach. Pomyślał: może tu jednak wrócimy z tej Majorki? Nie, nie wrócimy.

Poszli do garażu. Wrzucili walizki na tylne siedzenie BMW. Zenon siadł za kierownicą. Wyjechał tyłem. Stanął. Zamknął garaż. W środku został fiat 132.

Jechali na lotnisko o wczesnym świcie, pustymi ulicami, wśród lasu białoczerwonych flag. Potem leśną krętą szosą. Słońce prześwitowało przez lekkie mgiełki. Perliły się kropelki rosy.

Wypakowali bagaże przed wejściem i Marta tam została, a Zenon pojechał na parking. Postawił wóz równo. Zamknął starannie. Obszedł dookoła, sprawdzając klamki. Znalazł w po-

blizu kratę ścieku. Spojrzał na wóz po raz ostatni. Rozejrzał się. Wsunął ostrożnie kluczyki między żelazne pręty. Puścił je. Usłyszał plusk.

Na cie w ogóle im nie zaglądali do bagaży. Mogli byli wziąć więcej rzeczy. No, trudno. Wylecieli punktualnie o szóstej. O tej samej porze jego syn rozpoczynał mszę świętą prymicyjną przed cudownym obrazem na Jasnej Górze. Lot minął bez wrażeń. Nic do siebie nie mówili. W Madrycie odebrali walizki. Przeszli kontrolę paszportową i celną. Przesiadka na Majorce była za godzinę. Trzeba się było ponownie odprawić na samolot Iberii. Ale zamiast pójść tam z całą grupą polskich turystów, Zenon i Marta weszli do toalet. Zgubili się grupie i orbisowskiemu pilotowi. Potem poszukali posterunku policji.

28.

To miał być docelowy punkt ucieczki. Okazał się pierwszym etapem bardzo długiej drogi, złożonej z upokorzeń, przesłuchań przy pomocy tłumaczy, krzyżowych pytań, wypełniania setek ankiet i formularzy, pisania dziesiątków podań, petycji i prośb. Wyczekiwania na odpowiedź, na urzędowy list, na telefon, na wezwanie. Zenon poprosił — dla nich obojga — o azyl polityczny. Podał, że jest byłym wysokim urzędnikiem w randze wiceministra oraz byłym członkiem KC, ale obecnie jest prześladowany przez reżim. Jest zagrożony aresztowaniem ze względu na swoje poglądy polityczne. Oświadczył, że pragnie oddać się pod opiekę władz amerykańskich. Przesłuchiowano ich tygodniami w amerykańskiej bazie wojskowej koło Barcelony. Dostali azyl. Przetransportowano ich do Stanów. Ulokowano w małym mieszkanku pod Waszyngtonem. Dano im kartki żywnościowe. Małe zasiłki. Przez rok jedyną ich pracą było uczenie się angielskiego na bezpłatnych kursach. I odpowiadanie na pytania kolejno odwiedzających ich ekspertów.

Zenon twierdził, że w 1976 roku, po demonstracjach robotniczych w Ursusie i Radomiu, wygłosił na plenum KC ostre przemówienie, domagając się zmiany polityki partii. To przemówienie było tak jawnym oskarżeniem partii i panujących w Polsce stosunków, było tak miażdżącą krytyką, że zostało w ogóle wycofane z materiałów plenum i nigdy go nie opublikowano. Od tej chwili zaczęła się jego niełaska. Z partii wystąpił w styczniu

1979 roku, gdy zorientował się definitywnie w całkowitej zależności PZPR od ZSSR. Rzucił swoją legitymację w twarz reżimu. Współredagował w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku podziemne pismo pod tytułem *Biuletyn Niezależnego Związku Zawodowego Artystów Plastyków Wybrzeża*. Był także współzałożycielem tego związku. Współpracował między innymi z Anną Kawecką. Jego związek i jego pismo przyczyniły się do powstania Solidarności. Niestety Zenon nie mógł się włączyć do działania Solidarności, ponieważ dostał wiadomość, że grozi mu aresztowanie i proces o rzekome nadużycia gospodarcze. Miał być sądzony razem z byłym prezesem telekomitetu Norbertem Kubalskim, jako jego zastępca i współnik. W istocie stale z Kubalskim prowadził spory. Domagał się zniesienia cenzury w telewizji. Mobilizował w tej sprawie środowiska naukowe. Namawiał między innymi profesora Jana Fideckiego do podpisania petycji, domagającej się całkowitego zniesienia cenzury. Z powodu nieprzejednanego stanowiska wyrzucono go z pracy. Zdecydował się na wyjazd z kraju w sierpniu 1980 roku, zorientowawszy się, że jego proces i skazanie na długoletnie więzienie są nieuchronne. Najlepszy dowód, że Kubalski miał proces i skazano go. No, wyszły tam też jakieś nadużycia, ale w jego, Zenona, wypadku byłaby to zemsta czysto polityczna. Co do Marty, to w trybie represji za męża wyrzucono ją również z partii. Przeniesiono ją do znacznie gorszej pracy. Rozmówcy notowali. Sprawdzali dane z raportami z Polski i danymi o Polsce. To, co się dało sprawdzić, mniej więcej się zgadzało. Kolejny wykołajeniec z komunistycznego kraju. Dużo w Ameryce takich. Znajdzie się miejsce i dla niego.

Po roku skończył się im zasiłek. Marta dostała pracę przy sadzeniu drzewek w parkach. Zenon podawał we wszystkich ankietach, że jest artystą rzeźbiarzem. Skontaktowano go z firmą wykonującą reklamy przy autostradach. Zatrudniono go jako pomocnika do wszystkiego. Przynieś, wynieś, pozamiataj. Nosił farbę i drabiny. Podmalowywał płowy kapelusz ogromnego cowboya zaciągającego się papierosem Marlboro. Łatał czerwony kawałek dachu urwany przez wiatr z planszy najnowszego modelu Mazdy. Potem miał się różnych prac. Wczytywał się w ogłoszenia w gazetach codziennych i czasopismach naukowych. Pisał podania o zatrudnienie.

Patrzył teraz na te lata poniewierki z dystansu swojej uniwersyteckiej gaży. Dawne rany się w nim zasklepiły. Łęki zeszyły gdzieś głęboko i utaiły się. Wszystko się w nim w ogóle jakby pozamykało. Jakby porósł grubą skórą. Jakby chodził owinięty w folię.

A teraz właśnie był z powrotem na uczelni. I to było wielkie szczęście. Amerykańskie szczęście. W jego wielkim nieszczęściu.

I tak już miało zostać. Miał tęsknić za tym, co utracił i porzucił — tam. Od czego uciekł. I miał gorzknąć w tym, do czego uciekł. Co wreszcie wychodził, wydzwonił, załatwił — tutaj. Miał sobie wyrzucać, że nie okazał więcej sprytu i przebiegłości, nie ustawił się lepiej i bezpieczniej w peerelu. I miał głucho, niejasno żałować, że zmarnował tam życie, stanął po niewłaściwej stronie.

Siedział w swoim małym pokoiku — a jakże, miał pokoik i biurko i telefon, choć naturalnie nie miał sekretarki. Jadł przyniesionego z cafeterii sandwicza. Popijał coca colą. Po raz kolejny czytał notatkę o budowie pomnika w Warszawie. Komu ten pomnik wystawią? Kto przeciwko komu postanowił go zbudować? Jaką pieczeń ktoś sobie przy tym upiecze? Kto zaprojektuje ten pomnik? Może jego asystentka, ta garbuska? Nie, pewnie w ogóle już dawno wyrzucili ją z uczelni. I nie on. Nie on.

On będzie uczyć malowania dekoracji amerykańskich studentów. Sam sobie zgotował ten los. I to nie jako lekkomyślny doradca Gierka, nie jako partyjny dygnitarz — to były już tylko dalsze kroki. Kiedy wstąpił na tę drogę? Kiedy to się zaczęło? Gdy zapisywał się do partii? Nie, wcześniej, gdy wstępował do ZMP. Nie, jeszcze wcześniej chyba. W złodziejskim gangu węglowym? A może jednak później? Kiedy? Może niepotrzebnie się w 1980 roku wystraszył? Niepotrzebnie uciekł? Ale to był już ostatni krok. A który był pierwszy? Nie pamiętał. Nie wiedział. Nie umiał odnaleźć tego pierwszego kroku. Dokładnie pamiętał każdy następny. Może od początku szedł w złą stronę? Gdzie był ten początek?

Dokonywał wyborów. Nie, wcale ich nie dokonywał. Same się dokonywały. Może to był błąd? A może jednak wybierał? Tylko za każdym razem fałszywie? Nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Nie rozumiał swego własnego życia.

Spojrzał na zegarek. Zebrał pod pachę podręczniki. Poszedł na zajęcia. Mieli dziś przerabiać malowanie podłogi.

NOTA BIOGRAFICZNA

KAZIMIERZ BRAUN (29.06.1936); reżyser, teatrolog, pisarz, jeden z najwybitniejszych twórców współczesnej sceny polskiej. W latach 1967-1974 dyrektor artystyczny Teatru im. J. Osterwy w Lublinie, od 1975 do 1984 dyrektor Teatru Współczesnego we Wrocławiu. Jego dorobek teatralny obejmuje ponad 100 widowisk teatralnych i telewizyjnych zrealizowanych w Polsce i za granicą. Do jego najwybitniejszych osiągnięć reżyserskich zalicza się głównie przedstawienia dramatów polskich klasyków — Norwida i Wyspiańskiego — oraz autorów współczesnych — Różewicza, Gombrowicza, Mrożka. Równoległe z praktyką reżyserską Braun zajmuje się historią i teorią teatru. Wyrazem tego są liczne artykuły i rozprawy zamieszczone w prasie fachowej i czasopismach, oraz publikacje książkowe: „Teofil Trzciański” (wraz z Z. Braunową), Warszawa 1967; „Notatki reżysera”, Lublin 1970; „Cypriana Norwida teatr bez teatru”, Warszawa 1971; „Teatr wspólnoty”, Kraków 1972; „Nowy teatr na świecie. 1960-1970”, Warszawa 1975; „Druga Reforma Teatru”, Wrocław 1979; „Przestrzeń teatralna”, Warszawa 1982; „Wielka Reforma Teatru”, Wrocław 1984; „Nadmiar teatru”, Warszawa 1986. W druku: „Rozmowy z Tadeuszem Różewiczem”. Do roku 1986 profesor Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej we Wrocławiu oraz Uniwersytetu Wrocławskiego (tu z zablokowaną profesurą).

Po głośnej inscenizacji „Dżumy” Camusa, aktualizującej atmosferę stanu wojennego, wyrzucony z pracy i zmuszony do wyjazdu za granicę. Od 1986 roku wykłada kolejno: jako *visiting professor* w Swarthmore College, University of California w Santa Cruz, obecnie jako profesor na University of Buffalo. Reżyseruje w czołowych teatrach amerykańskich (np. The Gutrie Theatre w Minneapolis, Odyssey Theatre w Los Angeles, Mc Carter Theatre w Princeton, Studio Arena w Buffalo. Twórca szeroko komentowanych w USA spektakli teatralnych, m.in. „Nosorożca” Ionesco, „Szewców” Witkiewicza, „Henryka V” Szekspira, „Dobrego człowieka z Seczuanu” Brechta, „Głodomora” Różewicza.

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 4 SEPTEMBRE 1989
PAR L'IMPRIMERIE
DE LA MANUTENTION
A MAYENNE
N° 284-89

